

Dziś w numerze: ● Świadectwo zbrodni ● Melonik i muzy ● Śmierć łabędzia
● Aktorka ● „Jak to na wojence ładnie...” ● Kronika wandalizmu ● Wiersze
Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 48 (410)
4. XII. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



Fot. A. Bogusz

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

DROGA do NIKĄD

Kulisy działania
obcych wywiadów w NRF

Od zakończenia II wojny światowej, w Niemczech zachodnich rozwijają intensywne działalności najprzeróżniejsze ośrodki informacyjno-wywiadowcze krajów zachodnich. Jej głównym celem jest penetracja szpiegowska w krajach naszego obozu. Zwłaszcza wywiad zachodnoniemiecki i amerykański współdziałają w tym zakresie w doskonałej harmonii, a jedną ze sfer ich specjalnego zainteresowania jest Polska.

Wiele dowodów na potwierdzenie tego faktu dostarczają polskiej służbie bezpieczeństwa obywatele PRL, którzy, z tych czy innych względów, znaleźli się na terytorium Niemieckiej Republiki Federalnej.

Pewna część obywateli polskich z chwilą przekroczenia granicy NRF staje się obiektem szczególnego zainteresowania zachodnoniemieckiego wywiadu. Nie chodzi tylko o uzyskanie określonych informacji, lecz o próbe nawiązania trwałych kontaktów szpiegowskich, rozpiętość metod jest bardzo szeroka — od najbardziej finezyjnych do najbardziej brutalnych, z szantażem włącznie. Na przybycia z Polski, czeka więc w NRF wiele niespodzianek. Corocznie paraset osób z Łodzi odwiedza Niemiecką Republi-

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ MAKOWIECKI

LOSZY Łęczuckich HANYSÓW

„Mieszkańcy Łęczycy w latach 1953—54 o niczym więcej nie mówili, tylko o nadzwyczajnych i sensacyjnych poszukiwaniach skarbu w powiecie.

Z okien skrzyplącego pociągu, na trasie: Łódź—Toruń, rzucał się w oczy wysmukły sztab wiertniczy, wzniesiony na błotnistej ławce w Sierpcowie... Ludzie patrzyli na to cudo i licytowali

się w szczegółach przyszłych inwestycji. Fama o bliskiej potędze Łęczycy rosła jak na drożdżach... Eldorado... Klondyke... Kanada... I czego tam jeszcze nie było: lotnisko, port na kanale Bzura-Ner-Warta, teatry i kina, szpitale i domy wielkie, jak drapacze chmur z Chicago...
Z kroniki Mieczysława Cienliaka.

1

W dwa lata później, kiedy wiercenia potwierdziły hipotezę, i w miejscu dzisiejszej kopalni powstał pierwszy prymitywny barak z desek, koławy jak chatka Baby-Jagi — z pobliskich wsi i miasteczek zaczęli ściec ludzie, setki ludzi...
Wspomina Marek Wrotny, górnik przyrody z kopalni Ł2:

— Usiadłem na torze i patrzyłem za ostatnim, rozklekotanym wagonikiem kolejki, która gineła z wolna w mroku. Został po niej tylko dym, czarny od sadzy. Poem dym opadł, położył się na łakach jak mgła, i po raz pierwszy zobaczyłem Łęczycę... pare murowanych domków, dachówkę ratusza, ruiny zamku, kościółek i barak z desek szerniastych, niby wypalony przez ogień...

„I tu ma być kopalnia!” — pomyślałem, czując jak grunt ucieka mi spod nóg. Zapragnąłem wracać, czym prędzej wracać, chociaż przyjechałem aż z Rzeszowa. Ale Janek, mój brat, powiedział: — A nie wstyd ci ojca, nie wstyd ci matki? Dostyś tuż na nasłożył.”
Wlec zostałem, i szliśmy ze stacji przez pola, wraz z innymi, pośród odrapanych tobołków i walizek, do baraku rozprutego

na wiatr.

— W tym baraku był pierwszy hotel robotniczy — mówi Ryszard Zalewski. — Za tym barakiem było obce miasto, obcy ludzie i obce zwyczaje.

Zacznalem tu sam, od pięćdziesiątego ósmego. Zona i dzieci zostały w Białostoczek.

Wielu tak wówczas zaczynało. Każdy myślał: nie zaszkodzi się rozejrzeć, a, w razie czego, zawsze można dać nogę...

Żle było z początku. Żle pod ziemią, i źle na ziemi. Pod ziemią chodnik na metr wysokości, sypek jak diabeł. Krztusił się człowiek i pleców nie mógł wyprostować; pełzał na czworakach, a gdy fajrant przyszedł, to krzyk bólał jak peknięty.

Na ziemi znowu, co? Hotel, Cztery łózka w pokoju śmierdzącym i radio kolchożne w świetlicy. Albo gospoda zachlana woda: pełna ludzi, którzy nas, górników, nie kochali...

Opowiada Bolesław Paczka, szygar z kopalni Ł1:

Miastem trzeba było chodzić w grupie. Jak kto sam wyszedł, to przemykał chylkiem pod murami, żeby w ręce chuliganów nie wpaść, bo od razu wrzucał do wody. Tak było z Krajczakiem. W piecu zaszklili się na niego i wpadł do Bzury w ubranie. Maniak kiedyś wieczorem wracał z wachty, krótszą drogę wybrał, przed samym barakiem go trafili...

„Górniki?” — pytała.
„Nie — mówi. — Nie górnik.”
Ale był z kresów i zaciągał, więc poznali:

„Ty takj owaki — powiada Łuczak, ich

przywódca. — Ty myślisz, że ja mam sićczkę zamiast rozumu? Ty myślisz, że my swojego nie poznamy?”

Wrzucili chłopaka w zalewisko. Wczesną jesienią to było i dwa tygodnie z kataru sie leczył.

Z dziesięciu naszych tak urządzili. Za dziewczuchy z Łęczycy, za miejsce w knajpie, za język inny, chociaż polski...
Aż w końcu...

Ze wspomnień górnika, Jerzego Karasia

— W końcu mnie to wkurzyło, bo cisnęli w wodę mojego kumpla. Zebrałem chłopaków — Zalewskiego, Marciniaka, Piażaja, Paczkę i jeszcze paru innych. Poszliśmy do miasta. Mówię do nich:

„Wjedźcie sam, a wy czekajcie nad wodą”

„W porządku” — oni.

Wchodzi. Jest. W rogu gospody nad kuflem piwa.

Zobaczył mnie i mówi: „Jazda stąd”.

Ja nie.

Wtedy Łuczak do swoich:

„No to, chłopcy, zrobimy mu przysięgę!”

Wtenczas ja zacząłem uciekać. Ale nad zalew, gdzie czekałi górnicy.

No i teraz Łuczak sobie popytywał. I jego koleczy. Ale najwięcej Łuczak. Co wyjdzie, to my go jeszcze raz! I jeszcze! Wyglądał jak zmokła kura. A potem dowiół się do mnie, rękę wyciągnął i powiada:

Dalszy ciąg na str. 4



Zawsze wysokie zainteresowanie wydarzeniami światowymi, uwidaczniające się w naszym kraju szeregiem pytań, jakie towarzyszą omawianiu problematyki międzynarodowej na zebraniach, spotkaniach, wieczorach, pytań i odpowiedzi — w ostatnim okresie jeszcze spotęgowało się. Oczywiście, powodów tego dostrzec można w rozwoju sytuacji, szczególnie w dwóch najważniejszych kierunkach — w Wietnamie i Niemieckiej Republice Federalnej.

Chciałbym rozpocząć dzisiejszy przegląd właśnie od Niemiec zachodnich.

Jak Czytelnikom wiadomo — ostatnio w Hesji i Bawarii odbyły się wybory do krajowych parlamentów. Z uwagi na kryzys rządowy w Bonn obserwowano je szczególnie uważnie. Miały one być jak gąsienicą niemieckim nastroszonym w ciałach zachodnich Niemców. I oto okazało się, że partia nazistów — NPD w obu tych wyborach odniosła znaczny sukces, w Bawarii aż 15. Tak więc — wbrew wszelkiemu „uspokajającemu” działaniu mocarstw zachodnich jakoby w NRF nie było klimatu do rozwoju neohiperizmu — wynik wyborów zaalarmował opinię światową. Przyczyną tego alarmu są w pełni uzasadnione i żadne próby, podejmowane przez Bonn, pomniejszenia wymowy tych faktów nie mogą nikogo wprowadzić w błąd. To nie histeria, chorobliwe uczucie, czy też — jak chce się to nam wmówić — obsesja antyniemiecka wywołują głosy niepokoju i protestu, lecz pamięć dni, kiedy to rodził się w Niemczech hiperizm.

NPD — trzeba, aby o tym wiedział cały świat — jest produktem odradzania się nazizmu w Niemczech zachodnich, który bujnie rozwija się w stworzonych mu sam warunkach. I dlatego właśnie wyniki wyborów w Hesji i Bawarii powinny być dostrzeżeniem dzwoniącym alarmowym. Póki nie jest za późno.

Ostatnie dni przyniosły z Bonn doniesienia o wynikach międzypartyjnych rozmów, które zapowiadają stworzenie „wielkiej koalicji” — CDU/CSU i SPD. Bieżący tydzień — to myśl prognoz obserwatorów w NRF — miałby więc przynieść koniec kryzysu rządowego. Rezerwuąc sobie prawo powrotu do tematu, przypomnijmy dzisiaj, że socjaldemokraci dysponują w 11 krajach NRF 663 mandatami, podczas gdy CDU/CSU — 556. Łącznica w Bundestagu i parlamentach krajowych SPD ma 865 miejsc, CDU/CSU — 801, a FDP — 148. Gdy partia socjaldemokratyczna przejdzie z opozycji na ławę rzą-

dowe — koalicyjny gabinet mógłby mieć w Bundestagu zapewnione poparcie 447 deputowanych.

Celowo mówię: „mógłby”, ponieważ sobotnie oświadczenie Brandta, że SPD zdecydowana jest na współpracę z CDU i Kiesingerem nie oznacza jeszcze, aby w obu partiach przyszły rząd miał jednogłośnie poparcie. Wskazuje na to także obecne wrzenie w szeregach socjaldemokracji.

A teraz przenieśmy się na drugi niebezpieczny bieg — do Wietnamu.

Co warte są wszystkie amerykańskie zapewnienia o poszukiwaniu „pokojuowego rozwiązania” konfliktu wywołanego decyzją Pentagonu, dająca flocie USA „prawo” ostrzeżenia terytorium Demokratycznej Republiki Wietnamu.

Jest to zatem nowy krok na drodze eskalacji działań wojennych. Decyzja ta niemal zbiegła się z wypowiedzią McNamary na temat wysiłku wojskowego USA w Wietnamie, w której oznajmił o powiększeniu sił w przyszłym roku do 600 tys. żołnierzy. Oba fakty oczywiście wskazywały, że Stany Zjednoczone ani myślały o osłabianiu działań.

W tej sytuacji doniesienia o możliwości zawieszenia walk na okres świąt, nie mogą mieć większego znaczenia. Domniemywania niektórych obserwatorów, że przerwa świąteczna mogłaby dać okazję do rozpoczęcia deeskalacji, pozabawione są podstaw.

Konflikt wietnamski — jak słusznie przewidywano — był jednym z zasadniczych tematów rozmów brytyjskiego ministra Drowna w Moskwie. Z komentarza agencji TASS, jak również źródeł brytyjskich, wynika jednak, że ograniczono się raczej tylko do wymiany poglądów na tę kwestię.

Znacznie więcej uwagi w publikacjach po wizycie poświęca się zagadnieniu nierozpowszechniania broni jądrowej. Obie rozmawiające strony podkreśliły pilną potrzebę doprowadzenia do zawarcia takiego układu.

Przedyskutowano także problemy bezpieczeństwa europejskiego oraz omówiono radziecko-brytyjskie stosunki dwustronne.

Wizyta — jak wydaje się — rozczarowała brytyjską opinię publiczną, która oczekiwała, że Brown wysunie jakieś rozsądne propozycje w sprawie Wietnamu.

W dniu ukazania się nowego numeru „Ogłoszeń” rozpoczęło się w Paryżu wizyta premiera A. Kosygina i towarzyszących mu osób. Jest to wydarzenie dużej rangi politycznej, które przykuje uwagę świata.

Prezydent de Gaulle na kilka dni przed przybyciem radzieckich gości podkreślał na posiedzeniu Rady Ministrów znaczenie tych rozmów.

Przypomnijmy w związku z wizytą, którą będziemy jeszcze komentować, że Francja rozoczoła swą politykę zbliżenia do Związku Radzieckiego w 1960 roku. Ważnymi etapami na tej drodze były podróże min. Couve de Murville'a i prez. de Gaulle'a do ZSRR.

W czasie obecnego spotkania z pewnością kontynuowane będą rozmowy na wszystkie zasadnicze tematy światowe.

W. SŁAWSKI

Technika TYGODNIA

■ Nawiązując do zakupu w NRF przez Wenezuelę 74 myśliwców odrzutowych, senator R. Kennedy oświadczył, że zakup ten stanowi „jeszcze jedną ilustrację szaleństwa wyścigu zbrojeń w Ameryce Łacińskiej. Krajoznawcy i lotnikowcy, okręty podwodne, czołgi i samoloty odrzutowe są w najlepszym razie bezużyteczne, a w najgorszym razie stanowią bardzo poważne obciążenie słabej gospodarki i służą za narzędzia obalenia ustrojów demokratycznych”.

■ Doniesienie TASS z Pekinu: Gwardia awanturuje się nadal na ulicach Pekinu. Obok rozpalania antyradzieckiej histerii, rozpoczęła kampanię oszczerstw przeciwko dwóm jeszcze krajom socjalistycznym: Węgrom i Bułgarii.

■ Znany publicysta amerykański W. Lippman pisze, że głównym markamentem polityki Johnsona jest to, że rozmiła się całkowicie z dzisiejszymi czasami. Wobec całego świata naszyje dni stosuje kryteria odnoszące się do Europy z lat czterdziestych, nie biorąc pod uwagę całkowicie nowej sytuacji, jaka wyłoniła się w wyniku likwidacji imperium europejskich w Azji, w wy-

■ W ciągu 9 miesięcy bieżącego roku granice Jugosławii przekroczyło około 14 milionów turystów i około 4 milionów samochodów osobowych. Dochody dewizowe zamknęły się sumą przeszło 200 milionów dolarów. Na granicy jugosłowiańskiej znajduje się około 160 przejść dla turystów i obywateli zagranicznych.

■ Brytyjskie ministerstwo pracy informuje, że od lipca br. do chwili obecnej liczba bezrobotnych w W. Brytanii wzrosła o 70 proc. i obejmuje obecnie ponad pół miliona osób. Stanowi to 2,3 proc. ogólnej siły roboczej.

■ W Pekinie rozlepieno na murach broszura atakująca Liu Szao-tsi i Teng Siao Pinga. Broszura stanowi prawdziwy akt oskarżenia przeciwko prezydentowi republiki i sekretarzowi generalnemu partii. Reuter stwierdza, iż odnosi się wrażenie, że broszura została napisana przy pomocy bądź też pod bezpośrednim kierownictwem osób bardzo dobrze zorientowanych w wydarzeniach wewnętrznych kierownictwa KC KPCh.

■ Redaktor naczelny paryskiego „Monde” wyraził zaniepokojenie z powodu wzrasta-

jącej koncentracji piśm i dzienników w świecie, co powoduje zagrożenie dla wolności prasy. W Nowym Jorku wydawano kiedyś 15 dzienników, dziś tylko 4. Podobnie dzieje się na zachodzie Europy. W roku 1914 w Paryżu ukazywało się 57 dzienników, w roku 1945 — 28, dziś tylko 15. W wyniku tego procesu coraz bardziej ograniczona liczba osób i ugrupowań posiada kontrolę finansową, a zatem i polityczną nad prasą.

■ W Koreańskiej Republice Ludowej wprowadzony zostanie z początkiem nowego roku szkolnego (1 kwietnia 1967) system 9-letniego powszechnego obowiązkowego nauczania, z którego zrezygnują 12 z 15-20 proc. z krajami EWG, Węgier w 12 proc., Czechosłowacji i Polski około 10 proc., kolejne miejscy zajmują Związek Radziecki (około 6 proc.).

■ AFP podaje, że na przestrzeni ostatnich tygodni wzrosła liczba oznaki zwolnienia tempa rozwoju gospodarczego w Stanach Zjednoczonych.

■ Minęła trzecia rocznica tragicznej śmierci Johna F. Kennedy'ego, 22 listopada grób byłego prezydenta odwiedziło około 10 tysięcy osób, a wśród nich przebywający obecnie w Ameryce poeta radziecki Jewtuszenko, który złożył na grobie bukiet czerwonych róż.

Od czasu śmierci Kennedy'ego jego grób odwiedziło ponad 16 milionów osób.

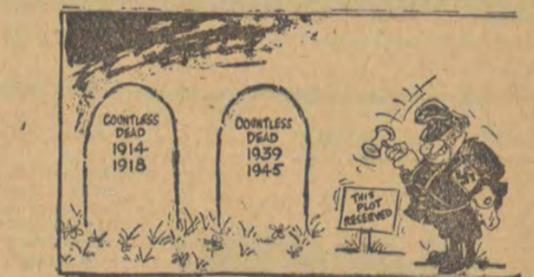


— Kto powiedział, że nie istnieje?

niku dekolonizacji. Należy wpaść — pisze publicysta, czy USA mogą regulować i określać rozwój przemian rewolucyjnych poprzez które narody Azji nieuchronnie muszą przejść.

■ W artykule pt. „Handel wschodu” zachodniemiecki dziennik „Die Welt” pisze: odnosi się wrażenie, że zainteresowanie państw wschodnioeuropejskich EWG i odwrotnie rośnie. W okresie od 1958 do 1965 roku handel EWG z blokiem wschodnim wzrósł o ponad 100 proc., w tym o 16 proc. w samym tyko roku 1965. Obróty handlu zagranicznego Rumunii zwi-

■ W artykule pt. „Handel wschodu” zachodniemiecki dziennik „Die Welt” pisze: odnosi się wrażenie, że zainteresowanie państw wschodnioeuropejskich EWG i odwrotnie rośnie. W okresie od 1958 do 1965 roku handel EWG z blokiem wschodnim wzrósł o ponad 100 proc., w tym o 16 proc. w samym tyko roku 1965. Obróty handlu zagranicznego Rumunii zwi-



Dziatka zarezerwowana

■ Czynnik przyspieszenia KC ZKJ V. Vlahovic oświadczył, że stosunki między ZKJ a Włoską Partią Komunistyczną pod względem zasięgu i intensywności zajmują wyjątkowo miejsce we współpracy między Związkiem Komunistów a międzynarodowym ruchem robotniczym i komunistycznym.

■ WPK — powiedział Vlahovic jest jedną z pierwszych partii komunistycznych w świecie,

Wspominki z lat pionierskich

Mam wiele powodów, aby napisać o najnowszej książce Wacława Mrozowskiego „Dolnośląskie wspominki”, która ukazała się w Katowicach nakładem „Śląska”. Ale najważniejszy z nich to ten, że sam częściowo uczestniczyłem w przedstawianych przez autora wydarzeniach. Jeśli piszę „częściowo”, to znaczy, że nie uczestniczyłem w tych wydarzeniach od początku, lecz w ich fazie końcowej. Na Dolny Śląsk przyjechałem w grudniu 1947 roku, podczas gdy „Dolnośląskie wspominki” Mrozowskiego rozpoczynają się od kwietnia 1945 roku a kończą w pięć lat później.

Dając swojej książce tytuł „Wspominki”, autor zastrzegł się niejako, by nie przypisywano im pretensji do dokumentu. Wspomina to, w czym sam uczestniczył i co widział na własne oczy. Mam do czynienia ze wspominkami najzupełniej subiektywnymi. Ale czy wspominki mogą być inne? Czy można żądać od nich, by wymierzały pełną, obiektywną sprawiedliwość wydarzeniom? Żądanie od dzieła artystycznego obiektywizmu jest żądaniem absurdalnym. Im bardziej osobiste takie dzieło, tym ciekawsze. Obiektywizm wymaga od twórcy naukowego, ale nie od powieści, opowiadania czy wspomnienia pisarza. Uczony musi się wystrzeżać zaangażowania emocjonalnego, stronniczości, artysta przeciwnie: wręga do dzieła emocje, dając im swobodny upust.

Są tedy „Wspominki” Mrozowskiego subiektywne i stronnicze. A przecież nie pozbawił ich autor pewnej wartości dokumentalnej. Cytaty z przymów, gazet, edezw itp., którymi okraszona jest ta książka, dają wgląd w społeczną i polityczną atmosferę tamtego czasu. Mrozowski był współpracownikiem „Słowa Polskiego” we Wrocławiu, a następnie redaktorem tygodnika „Walbrzych”, można zatem rzec, że nie przypatrywał się biernie wydarzeniom, lecz że sam brał w nich udział, a nawet, w dostępnym mu zakresie, wpływał na kształtowanie się niektórych spraw na swoim terenie, zwłaszcza literackich i kulturalnych. Jego książka jest przede wszystkim kroniką życia i pracy pisarza, ale także kreniką ruchu literackiego na osi Wałbrzych — Jelenia Góra.

Barwnie opisuje autor grupę pisarzy sudeckich, której założycielem i przewodnikiem był Edward Kozikowski — przed wojną czynny w grupie Zagłobowickiej „Czartaka”. Kiedy grupa pisarzy Ziemi Sudeckiej upadła, powstał w Jeleniej Górze oddział ZLP, którego prezesem został tenże Kozikowski i był nim aż do końca tj. do chwili rozwiązania się oddziału na skutek wyjazdu zgru-

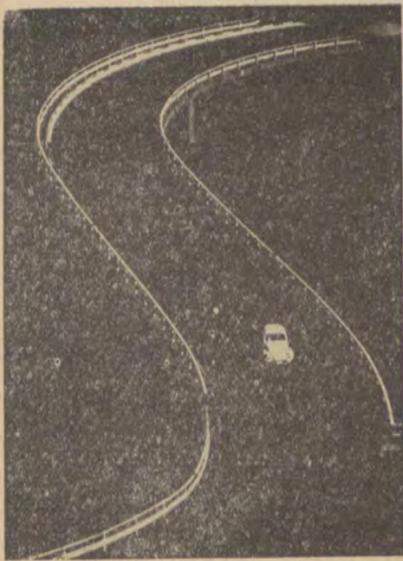
powanych w nim pisarzy do innych miast polskich.

Byłem członkiem jeleniogórskiego oddziału ZLP od 1948 do 1950 roku, a przez czas jakiś pełniłem funkcję sekretarza zarządu. Pamiętam te pionierskie lata dobrze i ślady ich odnajduję na kartach „Dolnośląskich wspominek”. Kiedy czytam dziś książkę Mrozowskiego, żal mi trochę tamtego czasu. Byliśmy młodzi, cechował nas większy entuzjazm i pasja, swoje zadania społeczne pojmowaliśmy żarliwiej, niż kiedykolwiek przedtem i potem. Włączyliśmy się do każdej akcji popularyzatorskiej i oświatowej, wychodząc z założenia, że pisarz na Ziemiach Zachodnich nie może sobie pozwolić na luksus zamknięcia się w wieży z kości słoniowej swojego pisarskiego warsztatu. Wiele jeździliśmy w teren z odczytami, brałiśmy udział w różnych akcjach społecznych i propagandowych, pisaliśmy reportaże. Słowem: więcej było w naszym życiu działania, niż pisanie. Czy słusznie? Na pewno nie. Najważniejsza praca społeczna pisarza są jego książki. Ale taki był znak czasu, takie potrzeby, taki styl życia intelektualnego na zachodzie. Czytam książkę Wacława Mrozowskiego i przypominam sobie to wszystko.

„Dolnośląskie wspominki” to druga jego książka, napisana prozą. Już „Cyganeria” dowiodła, że zapuszczenie się tego autora na tereny pozapoczątkowe nie okazało się daremne. W prozie swej potrafi on być konkretny, obrazowy, miejscami — dowcipny. Bywa i złośliwy. Bywa i niesprawiedliwy. Ale przecież powiedziano już dawno: „Pan Bóg niechaj będzie sprawiedliwy!” Pisarz nie musi i nie może.

Zapewne dałoby się wytknąć Mrozowskiemu to i owo. I znajdują się tacy, którzy to robią. Ale ja tego dokonać nie mogę. Zbyt emocjonalnie związany jestem z tym, o czym on napisał. I zbyt mnie to zaabsorbowało, aby jeszcze wdawać się w szukanie dziur czy łapanie pecheł. Jak kto woli.

Jan Koproński



DROGA do NIKĄD

Dalszy ciąg ze str. 1

kę Federalną i z pewnością nie jest im obojętne, na co są narażone i jak mogą uniknąć nieprzewidywalnych tarapatów. A na pytanie, co obywateli PRL grozi w Niemczech zachodnich, odpowiedź jest krótka: nacisk na pozostanie w NRF i werbunek do współpracy z wywiadem zachodnoniemieckim. Na przykład osoby, odwołujące się do rodziny zamieszkałe w NRF są z reguły nakłaniane do pozostania w Niemczech zachodnich. Jeśli to się nie uda, wywiad zachodnoniemiecki robi usilne starania, żeby wydobyc od nich interesujące go informacje. A tu każde słowo ma wielką wagę.

Jak wiadomo, od czasu do czasu, pojedyncze osoby „wybierają wolność” i odwołują się do rodziny. Prawda jest, iż część spośród nich mając tam zamoczone rodziny, lub korzystając z pomocy płynącej innym kanałem, lepiej czy gorzej, ale jakoś się urządzi. Nawiasem mówiąc są to ludzie, którzy już wyjeżdżają z Polski z zamiarem pozostania na Zachodzie.

ale reszta? Ci naiwni, zdani tylko na własne siły? Ci twierdzą, „światła wielkiego miasta”, bogactwem sklepowych witryn, oszołomieni warkotem potokiem luksusowych wozów, a nad wszystko oczarowani syrenim śpiewem przerożnych zachodnich ośrodków propagandowych, w rodzaju Wolnej Europy? Na co liczą? Co na nich czeka? Zamias? Królewicza z bajki z wozkiem pełnym skarbów, najczęściej zjawia się agent zachodnoniemieckiego wywiadu, który szybko i sprawnie zabiera się do dzieła. Najpierw wstępne badania, później przejściowe obozy Zirndorf, Oberursel, czy inne, gdzie przejdą śledczy magiel różnych wywiadów. Potem, jeśli się to opłaci, wypłyną jeszcze tu i ówdzie w charakterze propagandowych eksponatów, zza żelaznej kurtyny, aż wreszcie któregoś dnia, do końca wycieńceni i niepotrzebni, znajdują się na bruku bez środków do życia. Jedni odbierają sobie życie, inni tulają się po świecie. Wszelako część ratując się przed ostateczną zgubą i pojmując swą naiwność zwraca się do Polskiej Misji Wojskowej w Zachodnim Berlinie, prosząc o powrót do Polski. W kraju, by wreszcie zrzuć z siebie ciężar mniejszej lub większej przewiny, ci okłamani ulicze zwracają się do służby bezpieczeństwa PRL, opowiadają szczerze i dokładnie dramatyczne koleje swego życia na obczyźnie, ujawniając też formy i metody działania ośrodków wywiadów. Część spośród nich musi ponieść ustawową karę i rozumie to, że odpowiada za zdradę interesów państwa. Później powracają do pracy w swoich zawodach, pracują dobrze i uczciwie. Przykłady tego mamy również u nas, w Łodzi. Do Łódzkiej służby bezpieczeństwa coraz

częściej zwracają się również osoby, które przez pewien czas przebywały na terytorium NRF — z takich czy innych oficjalnych powodów, nie mając oczywiście zamiaru pozostania tam na stałe. Osoby te udzielają interesujących i szczegółowych informacji o próbach wywiadu zachodnoniemieckiego werbowania ich do współpracy, czy też wydobycia od nich określonych informacji. Z owych relacji powstaje szeroki obraz metod pracy wywiadu zachodnoniemieckiego, a nieraz — również i innych wywiadów — dokumenty wielkiej wagi, gdyż pozwalają na opracowanie właściwego kształtu profilaktyki. Za tę nieocenioną pomoc jest ona wdzięczna Łódzkiemu społeczeństwu.

Coraz większym uznaniem społeczeństwa cieszy się szeroka, profilaktyczna działalność służby bezpieczeństwa, jeden z jej istotnych kierunków pracy. Opiera się ona na przekonaniu, iż człowieka można uchronić od kolizji z prawem, jeśli w porę poda mu się rękę i sprowadzi z niebezpiecznej drogi. Ze tak ukierunkowane działanie zapobiegawcze jest słuszne, potwierdzają to liczne dokumenty, będące w posiadaniu służby bezpieczeństwa Łódzkiej Komendy MO. Ze zrozumiałych względów nie można ich ujawnić w całości, jednakże pewne ich fragmenty, oczywiście bez podania nazwisk, Łódzka służba bezpieczeństwa udostępniła naszej redakcji.

W dzisiejszym numerze „Odgłosów” zamieszczamy relację absolwenta wyższej uczelni łódzkiej, który złożył ją Łódzkiej służbie bezpieczeństwa, po powrocie z trzymiesięcznej praktyki w fabryce w Hamburgu.

★

„Do Hamburga przyjechałem w lecie w 1965 roku. Bez pośpiechu wyszedłem przed dworzec, złapałem taksówkę i już w kilkanaście minut później wchodziłem do wielkiego gmachu Altonaer Wellpopenfabrik. Tutaj właśnie odbyła się trzymiesięczna praktyka. W biurze, po zlatwieniu odpowiednich formalności, urzędnik kieruje mnie do prywatnego hotelu przy Schminlinstrasse 78.

Hotel jest średniej kategorii, mieszka w nim sporo cudzoziemców. Zajmuję pokój na drugim piętrze i tak oto rozpoczynam pierwszy dzień mego pobytu w tym obcym mieście. Po upływie paru tygodni wszedłem już w tryby ustalonego porządku dnia i pierwsze trudności miałem poza sobą. Po pracy w fabryce i obiedzie całe wieczory spędzałem w hotelu, uzupełniając wiadomości z zakresu mojej specjalności zawodowej oraz pogłębiając znajomość języka niemieckiego. Nie miałem czasu ani na rozrywki, ani tym bardziej na zawieranie szerszych znajomości, poza niezbędnym minimum w pracy i w hotelu. Mniej więcej w tym czasie, gdy któregoś wieczoru przechodziłem przez hall, zatrzymał mnie na moment kierownik hotelu:

— Bardzo pana przepraszam — powiedział — pytał o pana przyjaciel z Polski.
— Przyjaciel z Polski? Byłem mile zaskoczony.

— Tak — potwierdził.
— Jak wygląda?
— Nie wiem. Telefonował.
— Czy pytał o coś więcej? — Może wymienić nazwisko?
— Nie.

Podziękowałem i poszedłem do swego pokoju. Przez cały wieczór zachodziłem w głowę, kto by to mógł być. Może ktoś z Łodzi? Ale kto? Ciekawe. Męczyło mnie to jeszcze przez parę dni, ale ponieważ nieznany przyjaciel z Polski nie dawał znaku życia, uznałem to za jakieś nieporozumienie i w wirze codziennych spraw i zajęć całe to wydarzenie zeszło na dalszy plan.

W kilka dni później, około południa, gdy byłem zajęty w fabryce, odwołano mnie do telefonu. Podnosię słuchawkę i wymianiam moje nazwisko. W odpowiedzi słyszę poprawnie powiedziane po polsku: „Dzień dobry panu”. Kojarzę to zaraz za „przyjacielem z Polski” i ciekawie nadstawiam ucha:
— Cieszę się, że pana odnalazłem — kontynuuje mój nieznajomy rozmówca. — Jestem tłumaczem polskich książek na język niemiecki. Mam z tym pewne trudności i pragnąłbym zasięgnąć pańskiej rady. Czy mógłbym się z panem spotkać?
— Owszem — odpowiadam. I pytam:
— Czy to pan telefonował do mnie do hotelu?

— Tak, ale nie zastałem pana. — Więc gdzie i kiedy się spotkamy — nalega dalej. Czy odpowiada panu termin po 20 lipca, powiedzmy o szóstej wieczorem? Przynajmniej bym do pana do hotelu.
— Dobrze — odpowiadam. Wieczorami jestem w hotelu.
— Doskonale. Przyjdź na pewno. Do zobaczenia.

— Do widzenia. Odkładam słuchawkę.

W oznaczonym dniu, parę minut przed osiemnastą, jest już w moim pokoju. Przedstawia się, niewyraźnie wymieniając nazwisko. Zdejmuje płaszcz, więc proszę, żeby usiadł. Przyglądam mu się uważnie. Nie, takiego przyjacela w Polsce nie mam. Mój gość ma około 60 lat, jest łysawy, średniego wzrostu, trzygarbiony, w okularach. Jego niebieskie oczy szybko lustrują pokój i zatrzymują się na mnie. Wymieniamy kilka grzecznościowych zdań, po czym rozmowa zaczyna się rwać. Mówi płynnie po polsku. Sądzę, iż zna również język rosyjski, gdyż w trakcie rozmowy wtrąca całe zdania po rosyjsku. W pewnym momencie proponuje, żebyśmy poszli do restauracji, gdzie — jak mówi — będziemy mogli porozmawiać szerzej i swobodniej. Zgadza się. Wychodząc z hotelu mój towarzysz żegna się z kierownikiem.

„Przyjaciel z Polski” — tak go już będę nazywał — prowadzi mnie do eleganckiej i drogiej restauracji „Europäischer Hof” przy Kirchen Allee, niedaleko dworca. Podczas kolacji — na stole znalazły się również trunki — opowiada mi koleje swego życia. Niedługo mieszkał w Poznaniu, z pochodzenia jest Polakiem, w NRF przebywał dwadzieścia lat, tutaj się ożenił i już pozostał na stałe. O rodzinie w kraju nie wspomina. Jest tłumaczem polskich książek i współpracuje z pewnym Amerykaninem. Pyta, czy byłbym skłonny pomóc mu w nawiązaniu kontaktów z polskimi studentami w kraju. Mogłoby mu w jakiś sposób ułatwić tłumaczenie książek z języka polskiego na angielski. Nie rozumiem o co mu chodzi, ale słucham dalej. Zrezygnuje manewrując rozmową, okólną drogą dochodzi wreszcie do mojej osoby: gdzie mieszkam w Polsce, co studiuję i na jakiej uczelni, oraz jak długo będę na praktyce. Pytam, skąd w ogóle wie o mojej praktyce w NRF?
— To bardzo proste — wyjaśnia. — Powiedziano mi o tym na Uniwersytecie w Hamburgu.

Jest to prawdopodobne, gdyż w tutejszym Uniwersytecie wiedzą o moim przyjeździe. Robi się już późno i zabieramy się do wyjścia. Na odchodnym proponuje mi spotkanie z owym Amerykaninem. Waham się, ale wyrażam zgodę. Ustalamy, że umówimy się telefonicznie. Wstajemy od stolika i opuszczamy „Europäischer Hof”.

★

Hotel kosztuje mnie zbyt drogo, przeto postanawiam zmienić locum i rozpoczynam wędrowkę po domach akademickich. Marzenia ściętej głowy — wszystko zajęte do ostatniego tętna. Jednakże w jednym z nich udaje mi się zdobyć adres, gdzie, być może, coś się znajdzie. I w dodatku niedrogo. Agnesstrasse 44. W niespełna pół godziny jestem już na miejscu. Jest to coś pośredniego pomiędzy hotelem, a pensjonatem i nosi piękną nazwę „Haus der Begegnung” — „Dom Spotkań”. Dostaję niezły pokój i rzeczywiście niedrogi.

Któregoś dnia wyjeżdżam na tygodniową wycieczkę do zachodniego Berlina. Po powrocie dowiaduję się, że ktoś do mnie telefonował. Mija kilka dni i oto znów telefon:

— Dzień dobry panu — słyszę w słuchawce znajomy mi głos „przyjaciela z Polski”.
— Chciałbym się z panem zobaczyć.
— Teraz jestem bardzo zajęty — odpowiadam.

— To może za kilka dni — nalega mój „przyjaciel”.
Po namyśle zgadzam się i pytam, gdzie się spotkamy?

— Tam, gdzie już raz byliśmy, w „Europäischer Hof”. — Dobrze?
— Dobrze — odpowiadam. Będzie.

Ustalamy jeszcze datę i godzinę spotkania i na tym kończymy rozmowę. W oznaczonym dniu idę do „Europäischer Hof”. Jest tam już „przyjaciel z Polski” w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, którego mi przedstawia. Domyślam się, że jest to ów Amerykanin. Parę chwil rozmawiam z „przyjacielem” i dyskretnie zerkam na nieznajomego. Jest młody, ma około 30 lat, wysoki, dobrze zbudowany, brunet. Spod czarnych, szerokich i krzaczkastych brwi patrzy na mnie uważnie niebieskie oczy. Szpecą go pieg na twarzy i silnie owłosione ręce. W sumie, robi na mnie nieprzyjemne wrażenie.

Teraz i on przyłącza się do rozmowy. Zaraz na wstępie pyta mnie o wrażenia z Hamburga i z wycieczki do zachodniego Berlina. Mówi tylko po niemiecku, biegle i szybko, więc nie zawsze go rozumiem. Pomaga nam „przyjaciel z Polski”. Amerykanin mówi o dużych możliwościach tłumaczenia w Polsce książek na język angielski. Ze można na tym sporo zarobić. Zachęca o studentów w Polsce, którzy mogliby się tym zająć. Mówi, że ja osobliście nie znam angielskiego, a polscy studenci nie mogą tłumaczyć książek, gdyż muszą się uczyć.

Rozmowa idzie jak po grudzie. W pewnym momencie „przyjaciel” wtrąca, że jutro wyjeżdża na urlop i że resztę spraw będzie omawiał z Amerykaninem. Ustalamy jeszcze, iż z Amerykaninem umówimy się telefonicznie i wstajemy od stolika.

Znów mija kilka dni. Teraz telefonuje do mnie Amerykanin. Umawiamy się na spotkanie przed wejściem do „Europäischer Hof”, lecz tym razem idziemy do węgierskiej restauracji przy ul. Lange Reihe. Mamym permanentne trudności w porozumieniu się. Wychwała życie na Zachodzie, swobodę, duże zarobki, no i oczywiście wolność. Po jakimś czasie proponuje zmianę lokalu; idziemy do hiszpańskiej restauracji. Tu kontynuuję opowieść o bezrozkiem życiu na Zachodzie. Chwilami, zapominając, że słabo znam niemiecki, mówi szybko i długimi zdaniami. Później się reflektuje i niekiedy powtarza. W pewnym momencie znów mówi coś bardzo szybko, rozumiem zaledwie parę słów i nie umiem ich powiązać w całość. Milknie i uważnie patrzy mi w twarz. Wygląda na to, że powiedział coś bardzo ważnego i czeka na wrażenie. Wszakże dostrzegam, że nie rozumiem, więc z trudem wymyślając słowa mówię po polsku: „Jestem z wywiadu amerykańskiego”. I znów przechodząc na niemiecki rzuca pytanie, czy chciałbym z nim współpracować. Nie czekając na odpowiedź mówię wprost, że ta cała historia to tłumaczenie książek — to bajka... Jestem niemile zaskoczony i milczę. Nie zraża się tym, i jak gdyby nigdy nic, przedzie nie dalej. Interesuje go Łódź i Łódzkie fabryki, nie mówi jednak, o jakie mu chodzi. Wypytuje o eksport do Związku Radzieckiego; jakie urzędnicy i w jakich ilościach, kupuje od nas ZSRR. Odpowiadam, że nie mam o tym pojęcia. Więc przeszkakuje na temat wojska, jednak nie stawia konkretnych pytań. Ponieważ w dalszym ciągu „nie wiem”, przeto sondażę mnie na tematy młodzieżowe; co porabia młodzież w Łodzi w chwilach wolnych od zajęć, jak spędza czas, czym się zajmuje, gdzie się bawi...

Korzystam z chwili, gdy zapala papierosa i pytam go z kolei, jak sobie wyobraża nasze kontakty. Objasniam, iż przejdę w tym zakresie specjalny instruktaż, lecz dopiero wówczas, gdy wyrażę zgodę na współpracę. Zapewnia mnie, że niebezpieczeństwo takiej współpracy jest zgoła minimalne i proponuje wynagrodzenie w markach zachodnoniemieckich. Pieniądze będzie przekazywał na konto w banku szwajcarskim lub austriackim. Z „oferty” nie wynika, czy owe marki, to „etatowe” wymagodzenie miesięczne, czy też cena jednej konkretnej informacji. Daje mi natomiast do zrozumienia, że dopiero po okresie dwuletniej współpracy będzie można mówić o określonej sumie. Dodaje przy tym, iż poznałby mnie z pewną Niemką, do której mógłbym pisać z Polski. Znów robi wysiłki, żeby życie na Zachodzie przedstawić w najbardziej różnorodnych kolorach.

Przed wyjściem z lokalu ponawia propozycję współpracy. Jednak nie nalega i proponuje mi spotkanie za kilka dni. Zgadza się.

Wracając do hotelu wydobywam z pamięci najdrobniejsze spostrzeżenia i kojarzę je z faktami, które zazwyczaj rejestrują zmysły, ale do których normalnie nie przywiązuję się wagi. Teraz widzę je w zupełnie innym świetle. Więc nieoczekiwanie wizyta „przyjaciela z Polski”, jego pożegnania z kierownikiem hotelu — a zatem znali się już przedtem... Wystawne kolacje w eleganckich lokalach... Truadki... Mętne powody nawiązania kontaktów z polskimi studentami... Tłumaczenie książek na angielski... I wreszcie ta propozycja szpiegowskiej współpracy... Wszystko jest teraz jasne, wszystkie ognia układają się w lańcuch: „przyjaciel z Polski” nagania, a ten sięga już po konkrety. Tamten „zmięczka”, a ten urabia.

★

W oznaczonym dniu spotykamy się i wchodzim do jakiegoś restauracji, jej nazwy już dziś nie pamiętam. Rozmowa trwa krótko, około piętnastu minut. Amerykanin pyta o moją decyzję. Odpowiadam mu, że stanowczo odmawiam, że jestem Polakiem i nie będę zdradzał interesów mojego państwa. Jest wyraźnie rozczarowany. Właściwie nie mamy już o czym mówić. Amerykanin spogląda na zegarek i mówi, że się bardzo spieszy. Wychodzim z restauracji i rozstajemy się na przystanku tramwajowym.

★

Po odbyciu praktyki w fabryce Altonaer Wellpopenfabrik powróciłem do Łodzi. Gdy znalazłem się już na własnej, polskiej ziemi, odetchnąłem głęboko. Nareszcie poczułem się bezpieczny.

★

Oto jedna z metod obcego wywiadu, przy pomocy której usiłuje się werbować do współpracy szpiegowskiej w NRF przybyszów z Polski. O innych — w następnym odcinku.

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZU!

Cztery lata minęły odkąd odszedł od nas wybitny po-

eta i pisarz, tłumacz arcydzieł literatury rosyjskiej, społecznik, a nade wszystko gorący miłośnik Łodzi — GRZEGORZ TIMOFIEJEW.

Cztery lata spoczywa poeta w skromnej i zapomnianej mogile na Cmentarzu Komunalnym na Dołach...

Wydała mi się, że najlepszym wyrazem czci i pamięci dla zmarłego poety byłoby wystawienie mu kamiennego nagrobka — pomnika (najlepiej z czarnego marmuru). Czy „Odgłosy” nie byłoby uprzejmie zainicjować akcji zbiórki ofiar pieniężnych od społeczeństwa Łódzkiego (a szczególnie ludzi pióra) na rzecz wystawienia nagrobka

— pomnika wielkiemu łodzińskiemu Grzegorzowi Timofiejewowi?

Z poważaniem

MIROSLAW PONIECKI

OD REDAKCJI: G. Timofiejew był żarliwym i zastutym łodzińskim patriotą, wierzyliśmy więc, że Miasto uczy pamięć pisarza — bez potrzeby organizowania składki publicznej.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZU!

W nadziei, że oprócz Pana jeszcze kogoś zainteresuje po-

niższa sprawa, pozwalam sobie wystąpić z następującym wnioskiem:

Przed kilkoma tygodniami w miejscowym „Głosie Robotniczym” opisano historię płyt okalających dawny pomnik Tadeusza Kościuszki. W rzeczonym artykule wspomina się, że ma się odbyć dyskusja na temat losów tych cennych płyt. — W związku z tym proponuję, abyśmy płyty te umieścili w murze posesji Narodowego Banku Polskiego, w Alei ZMS.

Miejsce jest znakomite; i widoczne, i w centrum miasta, znajduje się tu przy Alei Kościuski, następnie — umożliwiając je tutaj — unikniemy się zbędnych kosztów

budowy odpowiedniej ścianki.

Podając to, łączę wyrazy szacunku

STANISŁAW KASZYŃSKI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZU!

Z uwagą przeczytałem wywody kier. Wydz. Kultury PRN p. R. Stefanczyka. To wszystko prawda, co więcej — to już nawet truizm. Ale prawdą jest i to, że Teatr Wielki pochłonął na przestrzeni kilkunastu lat wszystkie niemal środki inwestycyjne, przeznaczone na kulturę Łodzi. Ze realizując te imponującą budowę, zaniedbano rozbudowę sieci kin w Łodzi, za przeproszeniem w ten sposób szansę uczynienia z naszego miasta istotnej stolicy Filmu Pol-

skiego. Ze nasze środowisko stało się, jeśli chodzi o obiekty kulturalne arcyubożyczne. No — ale mamy już (bez mała) Teatr-Gigant. To dobrze, to bardzo dobrze. Jednak trzeba teraz nadrobić tamte zaległości. I co równie ważne — trzeba nadać Teatrowi Wielkiemu wysoką rangę artystyczną. Żeby nie stał się tylko budynkiem teatralnym, drugim co do wielkości w Polsce.

A o planach nowatorskich, śmiałych i ambitnych, choćby tak jak ta imponująca kubatura — wciąż cicho. Niepokoi mnie ta cisza. A pana, panie redaktorze?

STALY CZYTELNIK

„ODGŁOSY”: Obiecujemy wkrótce obszerną informację o planach Teatru Wielkiego.

LOSY Łęczycyckich HANYŚÓW

Dalszy ciąg ze 1 str.

— Nie wygłupiaj się, hanyś, przecież możemy żyć w zgodzie.

Mówi łęczycanin, Jan Michalak, znawca miejscowych obyczajów:

Z początku nie mogli żyć w zgodzie. To zupełnie normalne. Spokojna, zaspana od wieków miłośna zleżała się nagłych przemian. Zadrżała przed gwałtowną inwazją obcych twarzy. Poza tym — ludźmi targnęła zazdrość, Łuczak — na przykład — był zazdrosny o dziewczyny, o autorytet wśród kolegów, o miejsce w naróżnej gospodzie. Ale nie tylko Łuczak zazdrościł. Starsi, czcigodni obywatele — też. Kował trafił w cień sztygara. Kierownik apteki — w cień pana inżyniera. Kupcowca z ulicy Ozorkowskiej miała suknie podłóższego gatunku, niż żona technika W. M.

Ludzie ci musieli patrzeć, jak powstają kopalnie, pierwsze domy mieszkalne, ba... pierwsze trzypiętrowe bloki — wszystko dla górników. Musieli słuchać orkiestry, co w czterdziestą trąb dęła na Barburkowych uroczystościach. Musieli czytać w gazecie o planach na najbliższe lata, o nowych obiektach i przyszłych sukcesach.

To było ponad ich siły. Chcieli wprowadzić żyć w potężnej Łęczycy, pośród wielkich teatrów i panoramicznych kin; marzyli o tym, śniłi po nocach, ale...

Ale nie za taką cenę. Nie za cenę straconego spokoju, podważonej pozycji, zranionego honoru. Oj, niejednego wtedy wzdychało do Boruty, aby zrobił z kopalnią porządek, aby może tę hałdę poruszył, co na pięćdziesiąt metrów wysoka, góruje beczelnie nad miastem...

2.

Łęczycza 66. Druga połowa listopada. Wieczór. Lokal kawiarni PSS.

Przy stolikach młodzież. Złota młodzież. Szerokie spodnie z rozcięciami na mankietach, butki z kłami, fryzowany włos... Z boku, samotnie, siedzi trzydziestolatek mężczyzna. Manierystycznie sfrustrowany. Zaprasza mnie niedbale, eiegancem gestem i zaczyna się piosenka: „Piszę do pana, bo mi żal”. Normalnie. Dziesięć lat temu matkę zrobił. Szkoła opinie wypisała na pamięć: zdolny, bardzo zdolny. Jednak na studia się nie dostał. „Inni plecy mieli — ja nie” — powiada. — „Normalnie”. Potem pracował i nie pracował. Na zmianę. Dwa lata urzędniakiem w GS — dwa lata przerwy. Rok na posadzie instruktora od kultury — i rok na słodkiej drzemce. Aż trzydziestka mu stuknęła. Normalnie. Kiedyś ojciec go namawiał: „Idź do górnictwa, tam się wybliesz”. Nie poszedł. Kopalnia — to dobre dla wsiowych. On, żeby dostał pracę w Łodzi, albo innym wielkim mieście, byłby już dzisiaj panem: auto, forsa, trzy pokoje... Przecież zdolny był. Bardzo zdolny. Normalnie. „Pecha miałem w życiu — powiada — żem się w Łęczycy urodził. Tu największe zdolności nie pomagają, a wydość się trudno. Tu od lat nic się nie zmienia, mimo tej agitki całej o awansie kulturalnym miasta.” — Wskazuje nagle wściekłym ruchem na swoich młodszych kolegów: piją tanie wino, cienką herbatkę, ziewają w rękawy z nudów. — „Oni też tu zostaną. Na wieki. Ja to panu mówię, Normalnie!”

3.

Dziesięć lat temu, wtedy akurat, gdy mój sfrustrowany rozmówca był po maturze, zjawiał się w Łęczycy absolwent krakowskiej AGH, mgr inż. Wystocki. Miał za sobą wieloletnie studia i piękny dyplom, ale władze górnicze dyplomów nie uznają. Władze same wydają dyplomy. Za odpowiedni staż i odpowiednią robotę.

Poszedł więc Wystocki pod ziemię, i na poziomie: sto, w kurzu i znoju, przedzierał się przez chodniki. Ciężko było. Potem został nadgórnikami. Też było ciężko. Po tem kolejno, pracował jako: sztygar zmianowy, sztygar oddziałowy, kierownik wydziału, zawiadowca kopalni Ł2 i zawiadowca kopalni Ł1. Wejść było ciężko. Pierwszego kwietnia 1966 r., po przejściu wszystkich szczebli górniczej hierarchii, inżynier Wystocki został naczelnym dyrektorem Łęczycyckich Zakładów Górniczych. No i co? I nic. Wejść jest ciężko. Dobra, rozsądna praca i rzetelny, trwały awans — wymagają wysiłku, silnej woli, żelaznej ambicji. Tak już musi być.

Oddaję głos dyrektorowi Wystockiemu:

— Studiowałem w wielkim i pięknym mieście. Potem trafiłem do miasta małego i brzydkiego. Ale dzisiaj... czy mógłbym sobie wyobrazić życie bez Łęczycy?... Człowiek się bardzo przyzwyczaja — do ulic, ludzi, domu... No i — przede wszystkim — do pracy. Mężczyzna — sprawdza się w obliczu pracy. Tu, w kopalni, wielu z nas się sprawdziło. Wielu z nas nigdy stąd nie odejdzie. A skoro wybraliśmy to miasto za swoje — chcemy je współtworzyć i, naszym skromnym zdaniem, współtworzymy je z dnia na dzień.

Ze statystyk:
W roku 1955 Łęczycza liczyła 6.200 mieszkańców.
W roku 1966 Łęczycza liczy 12.830 mieszkańców.
Inteligencja techniczna:
W roku 1955 — 12 osób.
W roku 1966 — 183 osoby z wyższym i średnim wykształceniem.
Mieszkania:
W roku 1955 — 373 izby.
W roku 1966 — 3.885 izb (w tym górniczych: 2.042).

Po roku 1955 wybudowano w mieście:

- wodociągi;
- kanalizację;
- nawierzchnię ulic;
- park miejski (rozbudowa).

LZG dały miastu:

- Panoramiczne kino „Górnik” — 420 miejsc;
- Dotację na rozwój gospodarki komunalnej w kwocie 500 tysięcy złotych;
- Zasadniczą Szkołę Górniczą (uczy się tu obecnie 251 osób);
- Technikum Górnicze (269 osób studiuje w trybie stacjonarnym a 95 — wieczorem; dotychczas obie te szkoły opuściło ponad 400 absolwentów);
- Hotel Robotniczy — jedno z pięter spełnia rolę hotelu miejskiego;
- Zakładowe Ambulatorium Lecznicze (jest równocześnie przychodnią miejską).

Ponadto:

- W 1969 roku, przy udziale LZG, zostanie ukończona budowa nowego ujścia wody o wartości 24 milionów złotych.
- W 1967-70 roku powstanie drugi szpital łęczycycki (obecny nie zaspokaja potrzeb lecznictwa otwartego); 420 łóżek.
- Uwaga: nie wymieniono tu obiektów wyłączone górniczych, jak klub NOT, biblioteki, świetlice, tereny sportowe i ośrodki wypoczynkowe.

5.

Łęczycę przysypało pierwszym śniegiem. Na ulicach bloki i kałuże mętnej wody. Pola za miastem — w roztopach. Wybrałem dzisiaj dłuższą drogę. Z Ozorkowskiej skręcam w prawo, pomiędzy bloki górniczego osiedla, potem jest wąski tor kolejki. Ten tor ścina łagodnym zakosem peryferie miasta, rozciągnięte na mokradłach; biegnie wzdłuż szerniałych, jakby okopanych baraków — w których już górnicy nie mieszkają, ale inni ludzie... — biegnie także wzdłuż ogrodzeń kopalni.

Za drucianą, porzewiałą siatką — hałda wysoka i czarna. U podnóża hałdy — romantyczne rozlewiska, wymarłe szyby, znaczna depresja terenu. To jest to. Na tym fle: wielki kombinat górniczy: kruszarnie, przerobownia, zbiorniki do płukania, małe zapyłone wagoniki i potężne parowozy, remontownie, biura, paszce szyby i zapasy węgla.

Dochodzi godzina czternasta. W laźni zaraz odbędzie się zmiana. Poł sufitem, na łańcuchach, setki ubrań i kombinizonów. Każdy łańcuch zamknięty na kłódce. Każda kłódka ma swego górnika. Każdy górnik ma klucz: jedni, o twarzach czystych i wyspanych, ściągają robotcze ubrania — kaski, nakolanki, gumki; drudzy, o twarzach przyspanych pyłem, wyrzuceni przed chwilą na powierzchnię, wchodzi do laźni, w parę i potoki wod. Potem — spuszcza z łańcuchów ubrania cywilne i na szesnście godzin wsiąkną w miasto.

Alé górnik nie ma tego zwyczaju, żeby się spieszyć przy myciu. Trzy razy, dokładnie, naciera ciało mydłem. Marudzi. Zagaduje kolegów. Suchy już, a nie wkłada ubrania, jakby miał za dużo czasu. Przypala papierosa zaślagaając się łakomie i rozmyśla o swoim fajrancie.

Kupę lat minęło, odkąd zawitali tu pierwszy górniczy. Leez także wiele się zmieniło. Zamieszkał w blokach, posprowadził rodziny, niejedną, choć hanyś ze Śląska, wzeńił się w łęczycycką piękność i miasto uznał za swoje. Teraz, po robocie, wsiadzie na motor i przedelfuje miastem, nowoli, dostojnie, jakby rundę honorową robił, jakby w odświętnym ubraniu i solidnych butach wyszedł z żoną na niedzielny spacer.

A jak spacer się kończy, hanyś prosto na obiad trafia — talerz zupy zawieszistej, zraz wołowy, setka czystej do tego — musowo. I człowiek wie, że żyje. Za oknami plucha, w domu ciepło. Telewizor pod ścianą, radio z adapterem, meble solidne i nowe. W kołysce bajtel trzeci pokrzykuje, leez o jego losy hanyś jest spokojny. U hanyśa dziecko i żona, to świętość!

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Świadeństwo ZBRODNI

Zofia Brandenburg, lat piętnaście, nie żyje. Jej śmierć jest wynikiem zbrodni jakiej dokonali na tym dziecku jej rodzice oraz położna, lekarz i drobny złodziejzasek, od którego zaczyna się ogniwo przyczynowe tej ponurej sprawy, zacerpniętej bez mała z kronik średniowiecznych, choć całe zdarzenie miało miejsce w pierwszych miesiącach roku 1966.

Współoskarżonymi w tej zbrodni, osądzonej niedawno przez Sąd Wojewódzki w Łodzi, są: obłudna ciemnota, fałszywa solidarność i brak cywilnej odwagi połączone z zادیwającym lekceważeniem życia ludzkiego. Te najciemniejsze siły sprysięgły się przeciw dziecku stawiając nas w rozterce, czy mamy tu do czynienia z nieumyślnym spowodowaniem śmierci czy też z zabójstwem w postaci dolus eventualis.

Okoliczności sprawy są tak wymowne, że nie potrzebują zupełnie interpretacji. Zdajemy się więc wyłącznie na wymowę protokołów rozprawy głównej przedstawionych poniżej. Zresztą bez zachowania ścisłej kolejności fragmentów dokumentów.

„Wprawdzie bowiem rodzicielstwo jest sprawą płci obywatela, lecz macierzyństwo stanowi wyłączne prawo i wyłączny przywilej kobiety”.
T. KOTARBINSKI

Zeznaje koleżanka: „Chodziłam z Zosią do jednej klasy. Zosia opowiadała, że ma chłopaka, jak jeszcze chodziła do szkoły. Opowiadała mi, że ten chłopak najpierw chodził ze średnią jej siostrą, a potem zaczął z nią chodzić. Oprócz tego przychodził on do nich do domu i urządzali czasami prywatkę. Mówiła, że koleżdy przynosili wino i że mamusia o tym wiedziała i pozwoliła, że nieraz usuwała się z domu specjalnie, żeby nie przeszkadzać. Mówiła, że nawet na imieniny mamusia dała jej pieniądze na wino. O tym narzeczonym Zosia mówiła w szóstej klasie”.

Zeznaje oskarżony Edward Sobiecki: „Z Zosią nie wspólnego nie miałem. Według mojej oceny miała 14-15 lat. Chodziła do szkoły. Nie wiem do jakiej szkoły, ani do jakiej klasy, bo się tym nie interesowałem. Na końcu sierpnia lub na początku września Zosia poznała mnie z siostrą Haliną. Spotykałem się z Haliną przed ogródkiem Brandenburgów, przychodziła tam też Zosia. Z samą Zosią tam się nie spotykałem. Zosia dla mnie to było dziecko, Halina była moja sympatia”.

Zeznaje świadek Halina Brandenburg: „Mamusia pytała siostrę, kto jest sprawcą ciąży. Siostra mówiła, że Edek. Rozmawiałam na ten temat z Sobieckim w dniu 4 maja. On wyszedł z więzienia 1 maja (po odbyciu kary za kradzież — przypisek red.). Zachował się on wtedy zupełnie obojętnie”.

Zeznaje oskarżona Zofia Brandenburg: „Około 20 lutego zorientowałam się, że moja córka Zofia jest w ciąży. Postanowiłyśmy obie udać się do położnej Lewandowskiej. Spytałam położną, czy nie mogłaby usunąć ciąży. Nie odmówiła mi ze względu na dług wdzięczności z czasów okupacji”.

Zeznaje oskarżony Leon Brandenburg: „Gdy żona spostrzegła, że córka jest w ciąży, to powiedziała mi na drugi dzień i spytała, co zrobić. Ja powiedziałem, żeby zrobiły jak sobie chcą, a ja mam wszystkiego dosyć i idę do domu. Żona zaproponowała mi, że pójdzie poradzić się do pani Lewandowskiej”.

Zeznaje oskarżona Zofia Lewandowska:

„Zgłosiła się do mnie Zofia Brandenburg, matka denatki, z płaczem. Powiedziała, że ma zmartwienie. Strasznie płakała. Wobec tego ja powiedziałam, żeby przysłała z córką. Badanie miało miejsce pod koniec lutego. Nie chciałam robić tego zabiegu, powiedziałam, że na stare lata nie chcę w marmrze siedzieć bo cięża była zaawansowana. Na to matka denatki powiedziała, że mam okazję zrewanżowania się za dług wdzięczności z czasów okupacji. W czasie okupacji miałam radio i gazetki, a matka denatki ze swa siostrą ostrzegły mnie, że był donos do Gestapo. Pani Brandenburg ciągle przychodziła i miała na względzie, że to taki wstyd i prosiła mnie, żeby ratować opinie”.

Zeznaje oskarżona Zofia Lewandowska: „Przysłała sama i powiedziała, że mamusia jej nie przygotowała do tego, co miałam jej zrobić. Ja się zdenerwowałam i powiedziałam, żeby wcale nie przychodziła. Na to denatka zaczęła mnie prosić i pozwoliłam jej przyjść następnego dnia”.

Zeznaje oskarżona Zofia Brandenburg: „W sobotę poszłyśmy znowu obie z córką. Wtedy też córka zgodziła się na przebieg pęcherza. Przez cały następny tydzień chodziłam z córką na kontrolę do położnej. W sobotę stwierdziła, że nie ma żadnych komplikacji i może przystąpić do zabiegu”.

Zeznaje oskarżony Leon Brandenburg: „Jak żona miała iść tam z córką, to mnie prosiła, żebym poszedł. I poszedłem, bo chciałem być obecny przy tym zabiegu, ale nie wiedziałem z jakiego powodu”.

Zeznaje oskarżona Zofia Brandenburg: „Córka dostała zastrzyk znieczulający, ale nie chciała poddać się zabiegowi. W niedzielę oświadczyła, że zgodzi się na ten zabieg, jeżeli oboje z mężem będziemy przy niej. W niedzielę poszłyśmy w trójkę do położnej. Pani Lewandowska, wróciła z kosciola, przygotowała narzędzia”.

Zeznaje oskarżony Leon Brandenburg: „No i zaczęła Lewandowska ten zabieg robić. Ja z żoną trzymałem córkę. Nie wiem jak długo trwał ten zabieg, może ze trzy kwadransy, do godziny i córka już się zaczęła więcej denerwować i powiedziała: Tatusiu, bo będę krzyczeć. To ja powiedziałem do niej, żeby była jeszcze chwilę spokojna, to zaraz koniec”.

Zeznaje oskarżona Zofia Brandenburg: „Córka najpierw leżała spokojnie, potem zaczęła się rzucać i jedno narzędzie spadło na podłogę. Mąż nie uderzył córki w czasie zabiegu. W czasie zabiegu córka nie miała zatknięch ust, jedynie sama uspokajając się kładła sobie moją rękę na usta”.

Zeznaje oskarżona Zofia Lewandowska: „Podczas zabiegu była ona bardzo niespokojna, więc prosiłam rodziców, żeby przytrzymali ją dla jej dobra. Musiałam zabieg przerwać. Do tego czasu usunęłam różne drożdżki. Tak się bardzo zdenerwowałam, że dostałam jakiegoś szoku nerwowego. Zadzwoiłam do syna do Łasku, żeby przyjechał. Gdybym wiedziała, że jest perforacja, to natychmiast bym wezwała pogotowie”.

Zeznaje oskarżony Leon Brandenburg: „Upadło wtedy jakieś narzędzie do tej miski. Lewandowska powiedziała wtedy: Będzie zmuszona dzwonić po pogotowie”.

Zeznaje oskarżona Zofia Brandenburg: „Po przerwanym zabiegu córka zeszała ze stolików i położyła się na tapczanie, a położna zaczęła dzwonić. Powiedziała, że do syna”.

„Do czyjegokolwiek domu wniknę, celem wejścia mojego będzie jedynie dobro chorego, jakoż nigdy kisorować mna nie będzie rozmyślnie bezprawie, ani występki”.

Z PRZYŚĘGI
HIPOKRATESOWEJ

Zeznaje oskarżona Zofia Brandenburg: „Za jakieś dwie godziny przyjechał syn położnej. Rozmawiał na osobności z położną, a potem przyszedł i zbadał tętno; puls oraz temperaturę i powiedział, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Prostuje: badał ciśnienie a nie tętno. W końcu odciął kawalek czegoś, powiedział, że to jest jelito płodu”.

Zeznaje oskarżony Leon Brandenburg: „Po jakichś dwóch godzinach przyjechał pan doktor, Pan Bednarski zaczął badać

ROMAN SYKAŁA

Melodnik i muzy

Londyn powstał ok. 70-80 roku. Jako rzymski obóz warowny, który później rozwinął się w bogaty ośrodek handlowy prowincji zwanej Brytanią. Pozostał Londyn bardzo europejski i związany z wysoką kulturą dawnych jego założycieli. Londyńczycy wszakże wywodzą swoje miasto od celtyckiej osady i tam szukają swych moźnych antenatów. Nie ulega jednak wątpliwości, że jest to miasto, o którym się mówi, jako o wielkiej metropolii kultury europejskiej, aczkolwiek samimi londyńczykami nazywają swoje miasto „wielką wsią”. Ale ta „wielka wieś” ma różne oblicza, zwłaszcza widoczne dla przybysza z kontynentu, a więc najpierw

LONDYN RANO

spowity woalem jesiennego mgły, jednostajnie ruchliwy i jak w zegarku budzący się do życia. Pochód ludzi ciągnący do pracy zamykają panoramę w melonikach z chamberlainskimi parasolami, oni w zasadzie decydują o wszystkim w Anglii, oni także stanowią cenzurę dla dzieł, które wychodzą spod piór, klawiatury i paleczki reżysera. Potem otwierają swoje podwoje muzea i galerie sztuki. Odwiedziliśmy słynne British Museum ze wspaniałymi zbiorami sztuki starożytnej, które stanowią m. in. owoc kolonialnej grabieży, Tate Gallery ze zbiorami malarstwa angielskiego i sztuki współczesnej, Victoria and Albert Museum ze zbiorami europejskiej rzeźby, rzemiosła artystycznego i z bogatą kolekcją sztuki wschodniej. A...

LONDYN W POŁUDNIE,

to pora lunchu, wszystkie spotkania, zalatwanie interesów. Westminster — włościwa stolica Wielkiej Brytanii. Tu usytuowane są niemal wszystkie siedziby rządowe. Nad Westminsterem góruje Parlament, dostojna instytucja, której mury pamiętają najbardziej rewolucję dyplomatyczną. W tym pełnym dostojności i powagi gmachu, w klubie parlamentu

umówiłem się na spotkanie z członkiem Izby Lordów, Ted Willisem, autorem reżyserowanej przeze mnie w Teatrze Powszechnym sztuki „Mocne uderzenie”. Kiedy weszliśmy do klubu, byłem trochę oszolomiony ilością znakomitości angielskiego rządu, jakie zobaczyłem przy sąsiednich stolikach. Sam Lord Willis jest niezwykle uroczym, miłym i skromnym człowiekiem. W Parlamencie zajmuje pozycję bardzo postępowego Lorda. Walczy z cenzurą i prowadzi wielką kampanię zmierzającą do tego, aby teatry grały także i w niedzielę, co jest niezwykle trudne ze względu na religijny purytanizm panujący w Anglii. W związku z tym Willis nie wszedł na sceny teatrów królewskich, jest natomiast grywany w teatrach peryferyjnych, których jest w Londynie dosyć dużo. Teatry te borykają się z ogromnymi trudnościami finansowymi i raczej nie posiadają swego profilu, są przede wszystkim nastawione na lekką muzykę. Willis, któremu pokazywałem zdjęcia z naszego spektaklu był bardzo wzruszony tym, że trafił do Polski, bowiem wysoko ceni nasz teatr jako teatr wolny, przedkładający sztukę nad pieniądze. „Mocne uderzenie” zarówno w teatrach NRF, jak i Szwecji zostało wypaczone i źle wystawione. Ted Willis w styczniu 1967 roku będzie gościem Teatru Powszechnego w Łodzi.

LONDYN WIECZOREM,

to metropolia dużego imperium, stolica europejskiego mocarstwa, a jednocześnie skomercjalizowany świat sztuki na sprzedaż. Są jednak w tym skomercjalizowanym świecie i teatry, których ambicją jest wysoki poziom artystyczny. Kierownictwo tych teatrów spoczywa w rękach Petera Brooka, znakomitego reżysera i bardzo ciekawego twórcy. W jednym z tych teatrów, w Aldwych Theatre widziałem sztukę o charakterze dokumentu politycznego „US” przygotowaną tekstowo przez Denisa Cannana i reżyserowaną przez dyrektora Aldwych Petera Brooka ze znakomitą Gwendą Jackson. „US”, co znaczy Stany Zjednoczone, a także „my”, jest sztuką zmontowaną z oryginalnych dokumentów wietnamskich i amerykańskich, a mówiących o wojnie w Wietnamie. Jest to wielkie widowisko składające się z dwóch części, pierwsza — to dwie godziny gorączki. Pośrodku sceny duży wrak amerykańskiego samolotu odczony kanistrami z benzyną, aktor z żółtą tkaniną oznaczającą bonzów oblewa się benzyną i podpala. Inni aktorzy w zwykłych ubraniach grają ciągle inne postaci, nie schodząc prawie ze sceny — wielkie, cudowne aktorstwo. Półnagi aktor uosabia Wietnam, inni aktorzy przedstawiają wrogie obozy obławiają go róż-

na farbą, potem zawiąują w białą materię i rozprostowują ją jak sztandar. Druga część jest przyspieszona, relacje prasowe, komentarze, a na zakończenie wszystko milknie, publiczność nie rusza się z miejsc, oni też brali udział, Brook wysłał swoich aktorów, aby widownia odpowiedziała na pytania, które stawia spektakl. Po tej milczącej ciszy z pudełka wniesionego przez aktora wylatują motyle, różnokolorowe motyle. Wyszedłem z teatru oszolomiony i pełen podziwu dla znakomitego artyzmu londyńskich aktorów. Dowiedziałem się od B. Drozdowskiego, który pracuje w Londynie w Ośrodku Kultury Polskiej, że w czasie pobytu Jerzy Grotowski właśnie na „US” demonstrował swoją metodę Brookowi, a które sceny? Daje się to rozszyfrować. W poznanju topografii teatralnej Londynu pomogła mi instytucja British Council, jej pracownicy załatwiali wszelkie formalności związane z wyjazdami, teatrami itp.

W Hampstead Theatre obejrzałem „Sprawę Oppenheima” — niewielki teatrzyk, ale przepiękny. Znakomite aktorstwo i wcale nie angielskie dyskusje w czasie przerw. Publiczność raczej mieszczańska. Inscenizacyjnie przedstawienie nie było ciekawe. W Theatre Royal Drury Lane oglądałem nie najlepszą komedię muzyczną „Hello, Dolly!” ale za to ze znakomitą divą — musicalową Dorą Bryan, w GLOB Theatre obejrzałem komedię młodego debiutanta, dosyć zgrabną — „Dziewczyna w mojej zupie”. Z dużym zainteresowaniem wybrałem się do The National Theatre na „Czarnej komedii” Petera Shaffera i jednoaktówkę Johna Osborne'a, wg Lope de Vegi. Zależało mi przede wszystkim na „Czarnej komedii” — znakomity spektakl i znakomita komedia. Aktorsko sztuka ta daje olbrzymie możliwości. Otóż na scenie gra nie światło (na niby) i aktorzy grają jak gdyby światła nie było. Wynikają z tego niecodzienne sytuacje i zabawne nieporozumienia.

Pewnego dnia wyjechałem do Stratfordu i chociaż nie widziałem Oliviera, ale byłem na „Henryku V” Szekspira ze znakomitym Lanem Holmem w Royal Shakespeare Theatre. Przedstawienie, na którym widziałem piętno Brooka (Brook jest dyrektorem i tego teatru). Wielkie monumentalne staroangielskie ryciny, szarość i opary dymów i mgieł. Zmiany otwarte rozwijające na wozach, które stanowią jedyny akcent dekoracyjny. A kiedy wyszedłem z teatru wszystko tchnęło atmosferą kultu Szekspira, bowiem Stratford miało urodzić wielkiego dramaturga wszech czasów stanowi dzisiaj światynię pamiętki autora „Henryka V”. Imponująca wygoda budynek Royal Shakespeare Theatre przegładający się w wodach rzeki Avon.

Wieczór w Londynie można



spędzić także w kinie, np. na filmie produkcji Metro-Goldwyn-Mayer w reżyserii Davida Leana „Doktor Żiwago” wg powieści Borysa Pasternaka. Znakomity film, cinerama w technicolorze, z cudownymi scenami batalistycznymi i świetnym aktorstwem. Co z tego; wyszedłem z filmu z pewnym niesmakiem, jednostronne naświetlenie faktów, zresztą muszą powiedzieć, że scenariusz wiernie trzyma się powieści. Zresztą zarówno powieść, jak i film pod względem politycznym są bardzo dyskusyjne. Widziałem także „dzieło” zrealizowane znakomicie pod względem wymogów technicznych dzisiejszego kina, a mianowicie „Biblia”, obraz o wielkich ambicjach, ale pozabawiony oczekiwanego efektu, ilustrujący Pismo Święte i nie mający nic wspólnego z materialistycznym poglądem na świat. Na małym ekranie oglądałem i podziwiałem znakomite dziennikarstwo, wiadomości niezwykle barwne, przede wszystkim film i komentarz, redaktor na ekranie

tylko kilka sekund, tempo — oto całe BBC. Z ekranu kinowego i telewizyjnego już niedaleko do Londynu w nocy, imitacji Paryża.

I na zakończenie —

KILKA SŁÓW O EMIGRACJI

„Po kawiarniach mówią, że Leszkowi Wojtowskiemu w czasie wsiadania do wagonu, wpadł pantofel pod pociąg w Littlehaven, więc pociąg przestał się kawałek, a sam dyżurny ruchu podniósł go i oddał właścicielowi!” — oto wiadomości, które ukazują się w emigracyjnym „Dzienniku Polskim”. O emigracji opowiadał mi A. Cwojdzinski, miły, żurny pan, o wielkiej kulturze, mieszkający stale w Londynie, ale odwiedzający chociaż raz w miesiącu Polskę. W jego towarzystwie odwiedziłem Ognisko Polskie, skupiające niemal całą emigrację londyńską, ale najczęściej bywają tu ci, którzy znają doskonale drogę na Zaleszczyki. Właśnie oni — o para-

doksie! — uzurpują sobie wciąż jeszcze prawo do władzy, do urabiania opinii Polonii na całym świecie. Są martwi, a tematem ich rozmów są problemy z lat przedwojennych. Młodzież emigracyjna żyje już życiem Anglików, a Anglicy coraz częściej piszą o przekładach i waz kiewicza, Bratnego i nawet Putramenta. Kultura polska wreszcie zdobywa niedostępne szczyty samowystarczalnego dotąd Albionu.

Chaotyczność tej garści wrażeń jest związana z krótkim, bo tylko dwutygodniowym pobyt w Anglii (w tym 10 dni w Londynie), niemniej zetknięcie z kulturą teatralną Londynu, dało mi odczuć potęgę angielskiego aktorstwa zarówno w dramacie politycznym, dramacie klasycznym — szekspirowskim, jak i w komedii muzycznej i bulwarowej. Wywoziłem z Londynu stereotypowy obraz pana w meloniku i najwikszą wartość — poznałem interesujące precjoza teatralnej Anglii.

córkę. Badał, pocieszył nas, że nie ma żadnych zastrzeżeń, żeby tam była jakaś obawa. To ja z żoną pocieszyliśmy się”.

Zeznaje oskarżony lekarz Jan Bednarski: „Nie przypyznaję się do winy. Matka dzwoniła i przyjechałem. Zastałem w pokoju matkę zdenerwowaną, która powiedziała, że znajduje się u niej w pokoju dziewczyna, która jest w ciąży, wraz z rodzicami i że matka wnioskuję, że uprzednio został przebit pęcherz płodowy w celu wywołania sztucznego porodu. Matka jasno nie powiedziała mi, że ten pęcherz przebiła, ale ja się tego domyślałem. Ginekologicznie nie badałem denatki w ogóle. W pierwszej chwili się zdziwiłem, bo była małym dzieckiem. Matka nadmiernie mi, że sędzi, iż jest 5, 6 miesiąc ciąży. Na prośbę rodziców chorej wystawiłem zaświadczenie na 14 dni, że chora jest niezdolna do zajęć w szkole”.

„Mimo frazesów o dostojności macierzyństwa, tysiąc razy łatwiej „przebaczyć” społeczeństwo matce przerwanie ciąży niż urodzenie nieszłubnego dziecka”.

T. BOY-ZELENSKI

Zeznaje oskarżona Zofia Brandenburg: „Córka pozostała na tę noc (w Łasku) z położną. Została dlatego, że miała się tej nocy wzmocnić. Następnego dnia wracając z pracy wstąpiłam do położnej. Położna oznajmiła, żeby dziecko zostało. Ja również z dzieckiem zostałam na noc. Rano we wtorek poszłam do pracy, ale zwołaniłam się i przyjechałam do powrotu. Lewandowska powiedziała, że córka zachowuje się lepiej bez mnie, a przy mnie histeryzuje, że podczuwasz moją nieobecności nawet jadła. Zakomunikowałam mi, że syn jako lekarz zaofiarował jej swoje mieszkanie, żeby przywieźć córkę do Łasku, gdzie udzieli jej wszelkiej pomocy.”

Zeznaje oskarżony Jan Bednarski: „Pojechalismy do Łasku 8 marca późnym wieczorem. Pojechała matka, chora, Teresa W., ja, kierowca”.

Zeznaje oskarżona Zofia Lewandowska: „Na drugi dzień po śniadaniu dałam jej na przeczyszczenie, żeby wywołać parcie”.

Zeznaje oskarżony Jan Bednarski: „Wieczorem matka powiedziała, żebym przyszedł do pokoju, gdzie leżała chora. Wchodząc tam włożyłem fartuch. Matka prosiła, żebym wstrzymał dożylnie nowokainę. Chora leżała wtedy na stole. Matka siedziała naprzeciw leżącej: chora kręciła się. Próbowałem kilkanaście razy zrobić zastrzyk, ale musiałem zrezygnować, bo krew skrzepła w strzykawkę. W tym czasie matka mówiła, że coś wystaje”.

Zeznaje oskarżona Zofia Lewandowska: „Zrozumiałam, że to jelita, które wydstały się na skutek perforacji. Po odcieciu tych jelit powiedziałam do syna, by zadzwonił po pogotowie, zaświadczył denatkę do szpitala. Trudno mi jest powiedzieć, czy syn był pijany. Był tak zdenerwowany i zaszokowany, że był zupełnie nieprzytomny, dał sobie włosy z głowy i zrobił się zupełnie dziki. Zrobił się taki dopiero po odcieciu tych jelit”.

„Moralność rodzinna wymaga ciągłych ofiar własnych na rzecz bezdusznego bożyszczka, które nosi miano dobra rodziny i które często nie przynosi korzyści żadnemu z jej członków”.

BECCARIA

Zeznaje oskarżony Jan Bednarski: „Byłem bardzo zdenerwowany, szukałem tabletek uspokajających, bodajże wypitem kieliszek wódki i położyłem się spać. Po jakiś pół godzinie był telefon ze szpitala, żeby przyjechać, bo lekarka, która przyjęła chorą, chciała wiedzieć, co było zrobione i pytała, czy ja, podkreślałam: Czy ja sperfiorowałam matkę. Ponieważ nie było czasu na szczegółowe tłumaczenie, że nic nie zrobiłem, powiedziałem, że wydaje mi się, że

macica została sperfiorowana i że należałoby zrobić operację.”

Zeznaje świadek Zofia G., lekarz szpitala powiatowego w Łasku: „W marcu zostałam w nocy wezwana przez lekarza dyżurnego

„Uważamy zdrowie każdego obywatela naszego państwa za fundament jego powodzenia i szczęścia osobistego, ale zarazem także za istotny element postępu społecznego”
Z WYPOWIEDZI MINISTRA ZDROWIA JERZEGO SZTACHELSKIEGO

szpitala w Łasku. Powiadomiono mnie, że jest ciężki przypadek po poronieniu. Dzwoniła dr Danuta R. Powiedziała mi, że poronienie jest przypuszczalnie kryminalne, zaczęte w terenie. Po przyjeździe stwierdziłam, że pacjentka jest w ciężkim stanie, bez tętna na obwodzie. Stwierdziłam ostre zapalenie otrzewnej. Po założeniu kroplówki konsultowałam się telefonicznie z kliniką, w jaki sposób badać pacjentkę. Po konsultacji doszliśmy do wniosku, że trzeba otwierać jamę brzuszną. Przed operacją wezwalam dr Bednarskiego. Zrobił na mnie wrażenie zamroczony, gdyż nie odpowiadał na pytania. Pytałam, co z chorą zrobił. Na to odpowiedział: Nic, nic, ja ją tylko leczyłem i dawałem antybiotyki.”

Zeznaje świadek Danuta R., lekarz szpitala powiatowego w Łasku: „Po wyprawdzeniu pacjentki ze wstrząsu, rozmawialiśmy z pacjentką. Mówiła, że w Łasku w dalszym ciągu przerywano jej ciążę, że otrzymała narokę.”

Zeznaje świadek Zofia G.: „Zmiany w jamie brzusznej były bardzo rozległe i nasuwały przypuszczenie, że toczą się przynajmniej od kilku dni. Stwierdziliśmy duży ubytek jelita. Wolny koniec jelita był przeciągnięty przez jamę macicy na zewnątrz. Był to koniec jelita cienkiego. Poza tym brakowało przedniej ściany macicy i był

rozdarty pęcherz moczowy. Wydawało mi się, że same ubytki macicy są świeże. Przepuszczam, że musiał mieć miejsce dodatkowy zabieg wykonany przed kilkoma godzinami przed przewiezieniem pacjentki do szpitala.

Po kropiółwce, jak wyprowadziłam ją z szoku, chora była przytomna i opowiadała

„Sporób życia urządzić będę chorym dla ich dobra, podług sił moich i zdolności, dalekim będąc od wszelkiego uszkodzenia i krzywdy wszelkiej”.

Z PRZYSIEGI HIPOKRATESOWEJ

dała przebieg zabiegu. Początkowo denatka odmawiała zeznań, ale potem powiedziała: Ja chcę żyć, więc wszystko powiem. Kazali mi udawać głupią.”

Oskarżony Jan Bednarski: „Przewożąc chorą do Łasku liczyłem się z tym, że mogłem matkę jako lekarz udzielić ewentualnie porady czy pomocy.”

Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego pod przewodnictwem sędziego SW, Bolesława Kulińskiego skazano:

Położną Zofię Lewandowską na 7 lat więzienia (z art. 230 § 2 — nieumyślne spowodowanie śmierci na skutek umyślnie zadanych obrażeń);

Lekarza Jana Bednarskiego na 7 lat więzienia (ten sam artykuł) z pobawieniem praw wykonywania zawodu na okres 5 lat;

Zofię i Leona Brandenburgów — po półtora roku więzienia. Wymiarzenie kary zawieszono na okres 4 lat;

Edwarda Sobieckiego — za uwiedzenie nieletniej — na 2 lata więzienia.

Opracował: J. DARNAL

Śmierć łabędzia

Witek zarzucił jeszcze raz swój spinning i zwijał żyłkę na kolowrotek, robił to szybko, wprawnym, jednostajnym ruchem ręki, rozglądając się przy tym od niechcienia po jeziorze. Polów nie był tym razem obfity, w ciemnej czeluści wiadra, wsunętego pod ławkę łodzi, bieliły się zaledwie dwa wklęsłe brzuchy niedużych szcunaków.

Łłyskotka przyholowała znów kępę wodorostów, chłopak zdjął je z haczyka i wrzucił do wody, po czym położył wędkę na dnie łódki.

— Strasznie pełni się to świniństwo — powiedział. — Zarosło już nim prawie całe jezioro.

Spojrzałem mimo woli w głąb tafli wodnej, woda ciemniała już od zmierzchu, ale była bardzo klarowna, tą szczególną, mroczną klarownością. Wisiały w niej całe wrony bujnej roślinności, ale wprost pod ną poruszały się łodygi wodnego ostu niezłym ramiona ośmiornicy.

Nagle załomotało coś blisko nas, odwróciliśmy razem głowy w tamtą stronę. Z początku nie mogłem rozpoznać, czy ten ostry, jękiły świst wychodzi z dziobów łabędzi, czy też jest to łopot ich skrzydeł, ale potem łabędzie przeleciały nad nami i zobaczyłem ich wyciągnięte jak struny szyje, szyje proste, twarde, milczące, natomiast skrzydła cięły mlarowo powietrze, i wtedy rozpoznałem źródło tego dźwięku. Łabędzie leciały już nad ławką, zatoczyły półkole i spadały na drugi kraniec jeziora. Ich olbrzymie skrzydła były teraz nieruchomo rozpięte podczas, gdy piersi uderzały o tafle wody, żłobiąc w niej dwie głębokie bruzdy. Położyły skrzydła na grzbiety i osiadły spokojnie na wodzie.

Witek przez cały ten czas wioślował, przechyliwszy się lekko do tyłu. Był synem leśni czego, wychował się na jeziorze, lot dzi-

Dwa OPOWIADANIA

kich łabędzi nie zrobił na nim żadnego wrażenia. A może tylko grał tę obojętność, obserwowałem zawsze ukradkiem jego twarz, chyba wiedział o tym i dlatego zachowywał się tak, jak przystało na czternastoletniego chłopaka.

Byliśmy już niedaleko brzegu. Nad parującą zawsze o zmierzchu jarzębiną zaczął się wyraźnie rysować mały obłok mgły. I wtedy rozległ się znów łomot. Nie był to jednak łomot skrzydeł. Ktoś uderzał kijem w grzbiet łabędzia, ujrzelśmy tylko tę śmigającą rękę w sitowiu. Ptak krzychał, ale zagłuszył go przeraźliwy krzyk samicy, która teraz sama poderwała się do lotu. Witek obracał już łódź w tamtą stronę, kłusownik musiał nas spostrzec, bo zagłupotało w zaroślach, a potem czyjeś nogi zadudniły o twarde brzo.

Łabędź trzepnął raz jeszcze skrzydłem i znieruchomiał.

— Przetrać mi kregosłup — powiedział cicho Witek. I nagle zaczął krzyżeć.

— Ty sukinsynie! — krzychał — Ty sukinsynie! Zaraz powiem o tym ojcu, już on cię znajdzie, odbekniez jeszcze za to!

Witek był krepki, jakby wrośnięty w siebie, zawsze go takim widziałem, ale w tej chwili wcisnął się i skurczył jeszcze bardziej.

Patrzyłem na jego twarz, teraz już nie panował nad swą twarzą. Była ona biała, zdrobniła w przerażeniu i gniewie, bezsilna złość uczyniła ją nieporadną, dziecięcą.

Męślałem, że się rozplacze. Ale on podał się tylko mocniej do tyłu, silniej uderzył wiosłami o wodę. Musiał zobaczyć utkwione w siebie moje oczy, bo rozluźnił twarz i powiedział rzeczowo:

— Polują tu na łabędzie. Robią sobie potem z ich piór poduszki. A wie pan, z takiego, jak ten zabity, to by wysła nawet puchowa pierzyna.

AKTORKA

Dziś, po iluś tam latach, wiem, że to był jej pierwszy występ aktorski. Występ udany, potwierdzenie swych umiejętności, bo wkrótce potem zapisała się do szkoły aktorskiej ukończyła tę szkołę i jako aktorka charakterystyczna pracuje w teatrze objazdowym. Wtedy przeżyłem coś w rodzaju wstrząsu, zupełnie niewspółmiernego do wagi wydarzenia.

Było to którejś zimy po zakończeniu wojny. Od kolegi, z którym zaprzyjaźniłem się w czasie okupacji, dostałem zaproszenie do odwiedzenia jego rodziców w niewielkiej posiadłości w okolicach Ł. Znajdowała się ona w pobliżu trasy podmiejskiego tramwaju, zaledwie godzina jazdy, a jednak długo nie mogłem się na tę wyprawę zdecydować. Osaczyły mnie już wtedy pierwsze urazy i kompleksy związane z chorobą, schudłem i zacząłem unikać znajomych, bo wstydziłem mi, że tak źle wyglądam, a jeśli nawet nie wyrażali współczucia, czytałem je przy każdym spotkaniu w ich spojrzaniach. Do tego lekarz zalecił mi dietę, tylko czerstwe pieczywo i biały, gotowane mięso, to bardzo ważne, niech pan o tym pamięta. Przejąłem się tym zaleceniem, a nie chciałem tego okazywać po sobie, nie chciałem zresztą niczego okazywać, gdy byłem w towarzystwie, jadłem to samo co inni, polykałem każdy kęs świeżego chleba; czy pieczonego mięsa, jakbym polykał truciznę.

Za radą matki pojechałem jednak w te odwiedzić. „Taka mała wycieczka na pewno dobrze ci zrobi!” — powiedziała matka. Wybraliśmy się razem z kolegą, dzień był mroźny słoneczny, poprzedniej nocy spadły wielkie śniegi, teraz w południe suche powietrze pełne było migotliwego rytu. Wyglądało to tak, jakby słońce rozbiło się na białej, płaskiej równinie i ciągle jeszcze unosiło się nad nią miliardy jego drobnych, świecących ostro okruchów.

Po przyjeździe na miejsce Jurek (tak miał kolega na imię) zaproponował mi wyjazd do niedalekiego lasu. Na kolację zjechała reszta gości, jego siostra z koleżanką i narzeczoną, mieliśmy więc jeszcze trochę czasu. Jurek wziął ze sobą myśliwski sztucer ojca i poszliśmy postraszyc wrony, było dużo huk, ale ptaki poderwały się bez pośpiechu i usiadły na sąsiednich drzewach. Mimo to poczułem się krzepki i prężny, tak musi czuć się każdy młody człowiek, gdy odda w powietrze kilka strzałów, i gdy do tego powietrze to jest stężone od mrozu.

Wracaliśmy w świetnych humorach. Jurek wspominał pewną dziewczynę, naszą znajomą z okresu wojny, w której kochał się obaj bez powodzenia, to nas zresztą mocno zbliżyło do siebie. Zartowaliśmy z tych wspomnień, wydały nam się one wówczas, po trzech latach, bardzo dalekie, o wiele dalsze niż kiedy spoglądam na nie teraz.

Brązowy piec kaflowy w pokoju jadalnym oblepony był przez trójkę gości: siostra Jurka i jej narzeczoną, postawni i równi wzrostem, przylgnęli do frontu pieca, a przy jego bocznej ścianie stała niska brunetka o chudej twarzy, założywszy obie ręce na tył głowy. Witając się z nami, opuściła tylko prawą rękę, ale zaraz uniosła ją z powrotem do góry. Uścisk ręki był krótki, ostry, takie samo spojrzenie, którym mnie obdarzyła. Zmieszałem się, ale wskazała matka kolegi, wnosząc na tacy szklanki z gorącą herbatą i usiedliśmy do kolacji.

Wstałem pierwszy od stołu i pod pozorem przemarnięcia zaszyłem się w kącie przy piecu. Znowu ten świeży chleb, piękna go matka Jurka, był jeszcze ciepły, wszyscy go wychwalali.

Zjadłem dwie kromki, ale gardło miałem ściśnięte, jakby ktoś założył mi na nie żelazną obręcz: nawet ślinę przetykałem teraz z trudem.

Popadłem w depresję, jak zresztą zawsze o zmierzchu. Zaczęło mnie wszystko razić, gwar przy stole, światło żarówki u sufitu. Do tego w perspektywie noc na jednym łóżku z kolegą — czułem, że nie zmruję nawet oka.

I nagle ktoś schwył mnie za szyję: „Nędzniku! — zacharczał czyjś głos. — Zdradziłeś mnie! Zaraz się z tobą rozprawię!”

Musiałem mieć śliczną minę, bo wszyscy naraz wybuchnęli śmiechem. Pograżony w myślach, nie od razu poznałem tę kościstą rękę, za późno dostrzegłem chudą twarz. Gdy to się stało, niska brunetka siadała już z powrotem przy stole.

Spotkałem ją tam pierwszy raz. Nic o sobie nie wiedzieliśmy. Nie mogłem mieć do niej żalu.

Za drugim razem ujrzałem ją już na scenie.



Rys. A. Grun

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

PUSTE KRZESŁO

Tadeuszowi Chróścielewskiemu

Nie nie zapowiadało śmierci
Była nieobecna w tym domu z gałęzi
Na wszystkich sprzętach spokój
Jak powój przewieszony na drugą stronę
Kobiety ledwie odziane szykowały wieczerzę
Podłogi pachniały tatarakiem
W szparach nie było ciemności tylko jasny chłód
Nie nie zapowiadało śmierci
Przy oknie akacja dzwoniła białym zapachem
Mur stał w środku słońca
Na hamaku, kołysało się jabłko
Stół był radosną koroną domu
Okno zbliżało fioletowe kruszyny ziemniaka
Mur stał w środku słońca
Nie nie zapowiadało śmierci
A jednak gdy odstawiał krzesło
Weszła i położyła mu rękę na ramieniu,

BIAŁY PŁOT

Panu Jadwidze Duszyńskiej

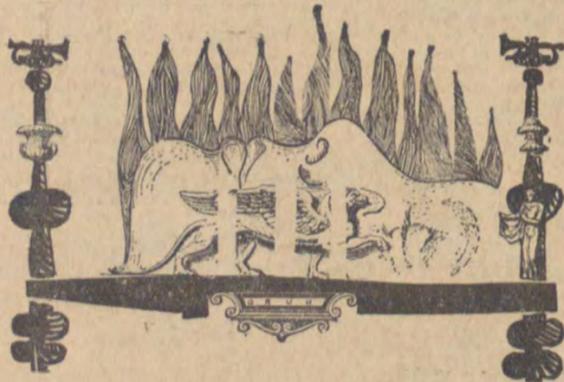
Nad moimi oczami chmury — stroskane matki,
stajnie z jaskółkami i drogi zbite z wiatru.
I przyszedł do mnie biały płot,
przeskoczyłem go i nabrałem dzieciństwa
I przyszedł do mnie ptaki,
i kamienie nieforemne — garby nizin.
Naschodziło się piokunów, gwiazd i ryb,
jednorzękich świateł spod nieba.
Nad moimi oczami głowy,
i ściany z uschłymi słoneczkami rumianków,
i przyszedł do mnie kościół
z Bogiem świejącym jak robaczek.

* * *

Stoisz za płotem
a jeszcze po stronie słońca
słaby punkt
ręka gasnąca
W wielkim przeciągu
płomyk bez dłoni
w noc pochylony
okno wyrwane
drzwi porąbane
Matko
łódka mojego dzieciństwa
modlitwo czysta
lampa naszego domu
zmiłuj się nad nami
świeć na stole.

KUPOWANIE KWIATÓW

Ogrodnicy odeszli
w plamie światła cynowe wiadra
w nich kwiaty ścięte
dla ciebie moją ręką
jałobym cię wpół objął
a przecież przypiąłem tylko
jesienne stokrotki
jałobym oczy twoje
zobaczył pocałunkiem
a przecież obok mnie
nie było miloogo



Na marginesie wydania dramatów T. Rittnera*

Wszyscy miłośnicy teatru, a zwłaszcza ci, którzy odczuwają sentyment do autora „Wilków w nocy”, ucieszą się prawdziwie, mogąc po wielu latach oczekiwań, nabyć wreszcie wybór jego najcenniejszych dramatów. Szczególną zaś pomoc świadczy wydawca ludziom teatru, którzy bywali w nie lada kłopotach, chcąc zagrać którąś ze sztuk, nie wznawianych po wojnie, np. „Człowieka z budki suflera” (po raz ostatni wydany w r. 1930), czy „Lato” (nigdy osad dotąd nie drukowane); teatry grające te sztuki korzystały z kilku krążących (z błędami) maszynopisów. Dla wtajemniczonych w dzieło zaiste meandry naszej polityki wydawniczej, sprawa edycji dzieł Rittnera jest aż nadto bolesnie znana. Inaczej mówiąc, zdażyła ona nabrać posmaku zgola kulturalnego skandalu.

Początek tej afery sięga roku 1930, kiedy za staraniem żony pisarza, Zofii Rittnerowej, F. Hoescik podjął się kompletnego wydania pism. Piękny zamiar zrealizowano najwęższym niestety połowicznie, co gorsza, — redaktor tego wydania (Z. Debicki) wykazał więcej wiary we własny talent niż w talent Rittnera, poprawiając teksty (już poprzednio przerobione przez reżyserów) wedle własnego gustu. Tak oto opisuje owe operacje Z. Raszewski w Komentarzu tekstowym, kończąc swój osad zdaniem, nie pozostawiającym żadnych wątpliwości co do wartości podobnych usług.

Brak dramatów Rittnera na rynku księgarskim w okresie międzywojennym byłby może jakoś usprawiedliwiony, no, ryzykiem finansowym wydawców (prywatnych), gdyby twórczość ta obumarła i tylko śpiętrzyła szacowny skarb spuścizny literackiej. Wiemy, że owo wprost przeciwnie, że teatry grały chętnie Rittnera, a kilka jego najlepszych sztuk nie schodziło z repertuaru. Zainteresowanie teatru (a więc i publiczności) tą dramaturgią nie osłabło i po ostatniej wojnie, w jakże przecież zmienionych warunkach życia społecznego i obyczajowego. Znacząco to po prostu, że Rittner pokonując z łatwością tak groźną dla wielu pisarzy barierę czasu i upodobań, bał — wychodząc z tej próby zwycięsko, wybronił zdecydowanie swe skreslenie z listy zwyciężonych pisarzy. Wybronił wartościami ogólniejszymi swych dzieł, funkcjonującymi jak się okazało nie tylko w obrębie swej epoki. Powiedźmy jednak, iż teatr odczytywał go w tych latach dość jednostronnie, akcentując wąsko i powierzchownie te partie, w których Rittner miał być jedynie krytykiem i oskarżycielem mijającej formacji kulturalno-społecznej. W ten sposób, nie bez pewnego gwałtu, został pasowany, obok Zapolskiej i Perzyskiej, na Wielkiego Prokuratora z... metryką klasyka. Z tej metryki — niektórych mu jej nie przyznawali — byłby niewątpliwie szczerze rad, czy również z tej drugiej god-

ności? Trochę powątpiewam. Mimo zaszczytnego awansu — tekstów nadal nie wydawano. Dopiero w 1954 r. Z. Raszewski opublikował w serii „Biblioteki Narodowej” — „W małym domu” — w dwa lata później (1956) — ukazały się tamże „Wilki w nocy” i „Głupi Jakub”, opatrzone wybornymi wstępami. I obecnie, w dziesięć lat po tej edycji omawiany wybór przynosi, poza trzema wymienionymi utworami, trzy dalsze: „Człowieka z budki suflera”, „Odwiedźnia o zmroku” oraz „Lato”. Apetyt przychodzi z jeżdeniem; chciałoby się mieć dalsze dramaty, np. „Tragedię Eumenesa” czy „Ogród młodości”. Prawda, każdy wybór zakłada z góry eliminację, rządzi się swoimi kryteriami. Dla Raszewskiego rozstrzygającym kryterium doboru była wyłącznie użyteczność, aktualność sceniczna tekstów, dzięki czemu otrzymaliśmy Żywy Teatr Tadeusza Rittnera. Szczerzy natomiast żal bierze, gdy z skrupulatnego zestawienia niedokończonych tekstów dramatycznych pisarza (Teksty Rittnera) uświadamia my sobie, ileż rzeczy napoczął i nie zdążył wykonać! A jak wiadomo, pisarstwo łączył z pracą urzędniczą, często przy tym zapadał na zdrowiu, wiecznie uskarżał się na złe „sztymung”, demobilizujące działanie artystyczne, a przy tym — przechwalał się swym... lenistwem.

Do tego rejestru chciałbym dorzucić fragment dramatyczny, który Rittner określił jako „Dialog” pt. „Die neutralen Götter” (Neutralni bogowie). Fragment ów, streszczony przez E. J. Steinera w jego monografii o Rittnerze (nie drukowana dotąd rozprawa doktorska na Uniwersytecie Wiedeńskim z 1932 r.),

zawiera komentarz Olimpu do wydarzeń wielkiej wojny (1914-1918) (?) Zeus skarży się tutaj na obojętność bogów wobec wojny, trapiącej ludzkość. W scenie tej mieli występować wszyscy niemal bogowie olimpijscy, a szyderczym wykładnikiem ich neutralności był „dekret”, zabraniający raz na zawsze Nieśmiertelnym mieszać się w wojny prowadzone przez ludzi. Steiner, który był w bezpośrednim kontakcie z żoną pisarza, wspomina jeszcze o wielu fragmentach, nie oznaczając ich niestety tytułami. I jeszcze dopełnienie bibliograficzne — Raszewski podaje, że „cztery małe sceny” (vier kleine szenen) zostały po raz pierwszy opublikowane pt. Théâtre paré w zbiorze nowel „Ich kenne Sie” (Wiedeń 1912). Otóż wszystkie te cztery sceny zostały wydrukowane najpierw w tygodniku „Der Sturm” (nr 15 z 9 czerwca 1910).

Ale nie to wyłącznie problemy koncentrują naszą uwagę. Ostatecznie czytane przedrukowane teksty nie są pierwotnymi, były już, w różnych co prawda wersjach, znane; jeżeli tyle o nich mówimy, to dlatego, żeby zaakcentować trud i pietyzm wydawców. Chodzi o coś bardziej istotniejszego: o nowe spojrzenie na te dramaturgie, o określenie jej miejsca i wartości w planie historycznym, także w planie współczesnym. Temu właśnie służy Wstęp Raszewskiego, wzór sztuki interpretatorskiej i pisarskiej. Człowiek jest w rozterce, co tu bardziej smakować: głębię, finezję objaśnień, czy biegłość we władaniu piórem. Zapewne — obie umiejętności na równi, oto co się nazywa budować „blekitne mosty” porozumienia między pisarzem a czytelnikiem.

Zatrzymam się na kilku kwestiach, które można by uznać za wstępujące dla zrozumienia fenomenu Rittnera. Pierwsza kwestia to fakt jego dwujęzyczności, a w związku z tym — ciśnienia, oddziaływania na niego dwóch obcych sobie ciągów tradycji kulturowych i estetyczno-literackich. Sam Rittner był w pełni świadom swego położenia, miał i ostre poczucie rozdarcia między polszczyzną i niemieczyzną. Raszewski pokazuje go po raz pierwszy na przykładach, że np. pisał z reguły dwie wersje każdej ze swych sztuk, polską i niemiecką, czy odwrotnie. I chociaż wystarczyło mu talentu i serca w obu sferach realizacyjnych, to jednak, patrząc z perspektywy czasu, wiemy dokładnie, iż z tego zmagania wyszedł z polowicznym sukcesem: w Polsce został klasykiem, na obszarze języka niemieckiego, w tym w Austrii, pisarzem niższej rangi, obecnie znanym jedynie z kronik teatralnych. Jego doświadczenie może przeto przyświecać jako swoiste memento.

Z licznych dokumentów — ze zwierzeń, listów, z artykułów — wiadomo, jak lamał się wewnętrznie, ustawicznie wahał, jak trudno podejmował ostateczne decyzje. Ta chwąjność, nie pozbawiona zresztą specyficznego uroku, rzutowała na jego osobiste życie, stanowiła również zasadę konstruującą postępowania jego fikcyjnych postaci. Są to prawdopodobnie i jakieś uzewnętrznienia opisowego rozdarca, sytuacji ustawicznych zderzeń. I stany te — czyżby zagrożenia? — korygowały jego widzenia świata, modelowały postawę ironisty z bagażem sentymentalnego liryka. Dostrzega się to w rysach jego bohaterów powieściowych i komediowych; są to rysy fascynującej nie-

mał bezwoli, podświetlone zresztą ciepłym i intymnością. Kto wie, czy te miękkie, pastelowe, zagubione kreacje Rittnerowskiej wyobraźni nie pociągają nas obecnie jeszcze do żywej, dziś, gdy zdążymy poznać dostatecznie różne mutacje losu ludzkiego łącznie z aósurdalnym? To też nikt nie będzie już poważnie rozprawiał o przydatności Rittnera jako demaskatora społecznego. Ważne to źródło poznania, kiepski z niego sojusznik w tej sprawie. Nie dla tych wartości ogląda nasza publiczność jego dramaty. Widocznie spełnia on jakiegoś oczekiwania? Jakiego? Oznaczając je, trzeba by je strywalizować. Niechże każdy konkretyzuje tę rzeczywistość na miarę własnej wrażliwości. Pisze Raszewski: „Postaci Rittnera skrywają zwykle więcej, niż mówią... Środkiem wyrazu była w tych sztukach cała postać, nie tylko jej wypowiedzi, lecz także jej wygląd, usposobienie i reakcje psychiczne, które również dobrze ujawniają się w słowie i w geście. Stąd między słowem i gestem taki związek, jaki nieraz trudno odgadnąć, gdyż jest to tajemnica autora, który wie o posiać znacznie więcej niż my”.

To nie tylko glosa do seccniczości tych sztuk, to i wskazanie na trudności przekładania Rittnera na język teatru, pochwała warsztatu dramatopisarza. Ktoż z polskich pisarzy, po Wyspiańskim i Szaniawskim (a ileż ten ostatni mu zawdzięcza?) stworzył taki własny oryginalny teatr? Jeszcze pewnie Mrozek. I?..

* T. 1 i 2. Opracował Zbigniew Raszewski. Warszawa 1966, zł 50.-.

ANDRZEJ GRUN

Plastycy miastu

Niniejszy artykuł stanowi fragmentaryczne i silnie rzeczbarne skrócone podsumowanie rozmowy przeprowadzonej z prezesem Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków Benonem Liberskim, z prorektorem PWSSP Stanisławem Fijałkowskim i artystą plastykiem Wiesławem Garbolińskim.

Niezwykle istotną i pilną sprawą, jak wynikało z rozmowy, zarówno dla samego środowiska plastycznego, jak i dla miasta i jego mieszkańców jest budowa galerii, stworzenie odpowiedniego miejsca i warunków do prawdziwie współczesnej ekspozycji, dzieł sztuki. Niewątpliwym paradoksem jest bowiem fakt, że drugie co do wielkości miasto w Polsce, posiadające środowisko po warszawskim i krakowskim badające najprężniejsze, najbardziej aktywne, nie dysponuje zespołem saloniów wystawowych z prawdziwego zdarzenia. Te, które są, nie zaspokajają potrzeb nawet samego łódzkiego środowiska (w kolekcje na wystawę plastycy czekają po trzy lata). Wiele interesujących wystaw krajowych i za-

granicznych nie dochodzi do skutku, nie może odbyć się w Łodzi właśnie dlatego, że nie ma ich gdzie pomieścić, albo też prezentowane jest w postaci niekompletnej, niepełnej, jak miało to miejsce w wypadku na przykład Plakatu japońskiego. O nowocześnie odbiorowi dzieł ekspozycji w obecnych warunkach nie ma nawet co marzyć. Szkodę ponoszą przede wszystkim liczne rzesze konsumentów sztuki.

Pożytecznym także z punktu widzenia szerokiej propagandy sztuki wśród mieszkańców Łodzi, byłoby zorganizowanie stałych lokalnych wystawowych na obrzeżach miasta. Doly, Rokicie, Dąbrowa, Zabłocie — powstają tam wlotyśięczne, nowoczesne osiedla będące właściwie kulturalną pustynią, przysłowiową „tabula rasa”, która trzeba dopiero zapisać. Plastycy tam w ogóle nie ma. Takimi lokalami i wymianą wystaw za jąć się powinny dzielnicowe zarządy ZMS, czy domy kultury. Komasaowanie wystaw tylko w centrum miasta, tylko na Piotrkowskiej (jakby była to jedyna w Łodzi ulica!) zapewnia co prawda frekwencję, ale nie rozwiązuje w pełni samego problemu upowszechnienia sztuki.

Interesująca wydaje się być również propozycja władz ZPAP i PWSSP odnośnie zorganizowania Giełdy Wzornictwa Przemysłowego. Mowa

jest oczywiście o przemysłe włókienniczym i odzieżowym. Zacząć trzeba najpierw od dużej, retrospektywnej wystawy istniejących już wzorów, orientującej w aktualnych osiągnięciach, umożliwiającej konfrontację, porównania, dyskusje, stwarzającej podstawę do prześledzenia tendencji i ewentualnych braków. Potem przyszedłby kolej na wystawy projektów nowych. Oczywiście jest, że impreza miałaby charakter ogólnopolski a z czasem mogłaby przerodzić się w imprezę międzynarodową. Potrzeba takiej giełdy wydaje się nie podlegać dyskusji a Łódź jest miastem specjalnie predysponowanym do jej urzadzania. Władze związku plastyków mają zresztą zamiar wprowadzić na coroczne wystawy okregowe także ekspozycje sekcji architektury wewnątrz, która to sekcja zresztą plastyków zajmujących się sztuką użytkową. Prezes B. Liberski zwrócił uwagę na szczególne ubóstwo łódzkiego pejzażu w elementach pomnikowych, elementy przez strzenie. Istniejące są poniżej wszelkiej krytyki. Patrząc na łódzkie pomniki mi mo woli przychodzi na myśl powiedzenie Oskara Wilde'a „gdy się zobaczy surdut, jaki się widuje w salonie, odłany w brzoje, albo dwurzędową kamizelkę uwięzioną w mar murze, dodaje to śmierci nowej grozy”. Cóż, faktem jest, że łódzkie pomniki to w

większości swej plody raczej poronione. I sprawą tą należałoby się zająć poważnie. Jednym z miejsc, które aż prosi się o rzeźbę, zespół rzeźb, kompozycję przestrzeni na jest pasaż między ul. Piotr kowską, a ul. Sienkiewicza. Przestrzenny element plastyczny — jaki, to kwestia czyba konkursu i szerszej dyskusji — na tie nowoczesnej architektury Domu Technika stanowiłby pożądane dopełnienie.

Niebagatelną sprawą dla oblicza estetycznego Łodzi jest sprawa malowanych elewacji starych i nowych budynków. Farby używane do tych celów są nietrwałe, w złym gatunku, po 2-3 latach ulegają zniszczeniu. Niedawno pomalowane domy są dziś pełne zacieków, brudne, niechlujne. Przed około 5 laty „uszmiętkowano” w ten sposób ulicę Piotrkowską. Dokonano przy tym wielu barbarzyńskich zabiegów, zbijając gzymsy, stłukowe ozdoby z secesyjnych kamieni. Dziś Piotrkowska wygląda gorzej niż przed makijażem, kolory zbladły, porozlewały się, wypłowiały. Należałoby więc do elewacji stosować albo tynki szlachetne, albo w najgorszym już wypadku różne odcienie szarości. Patyna czasu to nie brud i zacieki. Zastosowanie szlachetnego materiału na pewno opłaci się zarówno w aspekcie ekonomicznym, jak i w aspekcie estetycznym.



Henryk Piłciennik „Portret mężczyzny w koszulce”.
Grafika. Fot. J. Grygiel

LUBELSKA

GIEŁDA

LITERACKA

Człek bywały na festiwalach i sympozjach literackiej młodzieży doznał na lubelskim zjeździe drobnego rozczarowania. Brody były rzadkością, towarzystwo schudne jakiegoś, wygolone, garniturki i koszule non iron... „Na zjazd techników normowania trafitem?” — pytał poeta, któremu nieobce były cygańskie czasy poznańskich festi-

pieprz, bo właśnie tam chce się udać najbliższym pociągiem, a poeta A. T. szokował francuszczyznymi sandałami ubranymi na boscie nogi — liśtopad!, otóż owa poznańska cygańskość uczestników i poznańska solidność organizatorów wspomnianą szewnie w Lublinie.

Reszta dopełniła organizatorzy. Chcieli dobrze — jak ten kibic co rzucał butelką w sędziego a trafił w innego kibica. Chcieli dobrze a jednak nie wyszło. Zorganizowano wiele spotkań autorskich i sam zamysł był niezły. Tego rodzaju zjazdy nie „stoją” referatami bo i tak wiadomo co powie Lenart a co Putrament. A zresztą referaty choćby najslusniejsze, czy może raczej — te super slusne — nie mają zazwyczaj wdzięcznych słuchaczy.

Tego rodzaju zjazdy „lubia” co innego. Właśnie spotkania autorskie, mniej oficjalne, dające możliwość wzajemnego poznania się, nawiązywania kontaktów osobistych itp. Można było zorganizować taką „noc wierszy” przy kawie czy choćby czyniąc mniejszym, byłoby to imprezą na pewno ciekawą — przez głąd wierszy od Szczecińska do Rzeszowa.

Niestety zrobiono co innego. Spotkania autorskie odbywały się z reguły... miastami. Poeci z Krakowa występowali osobno i gdzie indziej, poeci z Łodzi czy Warszawy także. W rezultacie na wzajemną „wymianę” miejsce bywało przy biesiadnym stole — ale tu już ani kontroli, ani zasługi organizatorów nie było żadnej.

W dodatku jak to u nas bywa dany o sobie znać trudności finansowe — wiadomo kraj jest odczynie biedny. Niektórzy otrzymywali honoraria za występy autorskie, inni nie. Nie mam nie przeciwko honorowym występom, ale nie można chyba w gronie ludzi o dość podobnym artyście dorobku stwarzać szlachetnych podziałów. Tym drażliwszych, że finansowych. Przypomina się dialog dwu poetów, z których jeden pro-

ponuje drugiemu wydrukowanie wiersza w macierzystej gazecie. „Zgoda — odpowiada ten drugi — ale pomówmy jak poeta z poetą — za ile”. Bo dziś i poeci są inni — tyle się wokół mówi o rachunku ekonomicznym, że nie powinno to nawet dziwić.

Może zresztą krzywdzę organizatorów — w końcu i tych referatów nie było tak wiele, bo tylko 3 na trzy dni. Wystąpienie Eugeniusza Kabaćka ze „Współczesności”, choć programowo (chyba) nie sprawiedliwe i krzywdzące w ocenach młode środowiska pisarskie było interesujące jako haczyk do dyskusji. Inne wystąpienia były już po prostu nudne. Mówiono bowiem o poczciwej angiosaskiej, bo taka moda, o pamiętnikarstwie dalibóg nie wiem czemu i o środowisku lubelskim — no bo — wiadomo — gospodarze.

Czy można postawić na końcu wniosek, że takie zjazdy nie mają w gruncie rzeczy sensu? Chyba nie. Moment szukania wspólnych

plaszczyzn dyskusji, rozmowy, kontaktów na skomplikowanej i niełatwej drodze pisarskiej nie jest do pogar-



zenia. I chyba ten moment lubelskiego zjazdu był najbardziej bezspornym pozytywnym. Bo referaty — o ile się znam na życie — i tak będziemy niebawem czytać przedrukowane w formie wstępniaków w warszawskich pismach literackich.

Ale zjazd miał sens, choć setkę młodych, a więc „chudych” literatów wysłano do domów o tzw. suchym pysku odwołując ostatnią wspólną kolację — miał sens, choć starszuka Hamiltona z „Kul-

tury” próbowano na dzień przed końcem zjazdu wyeksmitować z hotelu. Posiwalni organizatorzy blagali wówczas recepcjonistów o wzgląd nie tyle na starość co na ostre pióra felietonisty.

Zjazd miał zatem sens, bo do miasta z któregoś dotąd pi sarze wyjeżdżali — przybyło, choć na krótko ponad stu młodych literatów, aby mówić o swoich sprawach. Tylko mo że na koniec użyjmy modnego słówka „przemodelowanie”. Może by jednak na bazie doświadczeń poznańskich, łódzkich, bydgoskich itp. prze modelować zasady takich spotkań, jeśli są na nie — choć zawsze zbyt szcuple — fundusze. Nie może to być w końcu bardziej lub mniej nudna „oficjalna”, bo wówczas terenem najciekawszych rozmów i dyskusji będzie najbliższa kawiarnia. Trudno — ale to fakt. „Takim mnie panie boże stworzyłeś — to ta kmił mnie masz” — jak mawiał pewien stary koniakar.

JERZY WILMAŃSKI

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Samantha Eggar i Rex Harrison w filmie o doktorze Dolittle

DR DOLITTLE I JEGO ZWIERZĘTA NA FILMIE

Popularny wśród dzieci dr Dolittle, znany im dotychczas jedynie z książek wystąpił wraz ze swymi zwierzętami na ekranach kinowych. W tej chwili w Hollywood nakręca się film o przygodach dr Dolittle. Jego postać zagra Rex Harrison, w roli kobiecej wystąpi Samantha Eggar, aktorka znana z filmu „L'Obsédé”, adaptacji powieści Johna Fowlesa. (Powieść tę u nas tłumaczył L. Ky dryński popularny „Przekrój”. Tytuł: „Kolekcjoner”). Przygodę dr-a Dolittle'a jakkolwiek fantastyczne mają swą historię. Oto doktor Hugh Lofing, uczyony, który podczas pierwszej wojny światowej

walczył na froncie, zmęczony wojennymi przeżyciami i okrucieństwami wymyślił w liście do dzieci własny świat, w którym zwierzęta rozmawiały i zaprzyjaźniły się z doktorem serdecznie. O ich przygodach opowiadał w swych liściach dr Lofing. Później już po wojnie na podsta wie tych fantastycznych historii napisał i wydał książkę o doktorze Dolittle.

Film, reżyserowany przez Richarda Fleishera kosztować będzie 15 milionów dolarów. Zaangażowano najznakomitszych reżysersów z całego świata, zdobyto 1.500 najrozmaitszych zwierząt, niezmiernie rzadkich i trudnych do złapania. I tak np. sprowadzono z Konga okapi (ssak z rodziny żyrafy odkryty dopiero w 1901 roku w Afryce.

SATYRA NA AMERYKAŃSKĄ CYWILIZACJĘ

Wiele satyrycznych książek napisano już na temat cywilizacji maszynowej i władzy maszyn nad człowiekiem. Tym razem Vercoirs i Coronel zajęli się sprawą handlu wykazując cały absurd konsekwencji kupna i sprzedaży, jeśli u podstaw tkwi wyłączenie komercyjnych założeń. Co jest podstawą wszelkiego handlu? Potrzeba klienta. A jeśli potrzebny ma lub zostały całkowicie zaspokojone? Nie ma wtedy odbiorców towarów. Nie ma handlu i nie ma produkcji. Co więc należy w takim

przypadku uczynić? W interesie producentów i handlowców należałoby wtedy rozbudzić nową falę potrzeb i zdobyć klientów. To tak jak podstawa uprawiania zawodu lekarza jest choroba pacjenta. Jeśli wszyscy byli zdrowi nikt by się nie leczył. Co powiedzie libyśmy o lekarzu, który wywołuje epidemie, aby następnie zarabiać na leżeniu chorych? Vercoirs i Coronel napisali książkę pt. „Quota ou les pléthoriciens” co mogliśmy przetłumaczyć jako „Quota i ludzie nadmiernie bogaci”. Autorzy prowadzą nas do niewielkiego, fikcyjnego kraju Tahuapa. Nie przy padkiem geograficznie państwo to leży w Ame

ryce Północnej. Tahuapa, ów nie istniejący na mapie kraj, miał być zdobyty przez Hiszpanów w roku 1528, a potem zaludniony przez imigrantów najrozmaitszego pochodzenia. Obecnie jest on niezwykle rozwiniętym przemysłem. Ale oto przedsiębiorstwo „Frigibox” produkujące lodówki zaczyna przeżywać ostry kryzys, nie może już zdobyć klienta. Kraj jest zaszyty lodówkami. Właściciel przedsiębiorstwa Samuel Brett, wnuk szwedzkiego osiedleńcy, spotyka profesora Quote, genialnego sprzedawcę. Profesor ma tak sugestywny sposób przekonywania, że sprzedaje Brettowi cały szereg niepotrzebnych mu urządzeń i przedmiotów, jak młot pneumatyczny, maszynkę do zbierania okruszków i pompe do piwa. Quota organizuje nowe formy sprzedaży. Otwiera eksperymentalny dom towarowy opierając przedsiębiorstwo na stosowaniu najnowszych metod psychologicznych. Odpowiednio dobrani ekspedientzi potrafią zneutralizować te cechy potencjalnych klientów, które stanowią czynnik oporu w kupowaniu niepotrzebnych przedmiotów. Quota idzie dalej w swym eksperymencie. Wobec bardziej opornych klientów stosuje psychologiczną analizę w trakcie której stwarza nowe potrzeby u swych „ofiar”.

W tym to mniej więcej czasie piękna Florence siostrzenica Bretta wyjeżdża do wymyślanego w Europie kraju gdzie trafia na zupełnie inną cywilizację. Ow kraj, gdzie przebywa Florence nie zna luksusu, jest tam wprawdzie bieda, ale Florence spotyka niezwykle słabych i życzliwych ludzi. Gdy po dwu latach dziewczyna wraca do Tahuapy nie może już zrozumieć tego co się dzieje w jej rodzinnym kraju. Wprowadzono tam tymczasem nowe prawa. Ten kto więcej kupuje, ten więcej zarabia. „Sprzedajemy dlatego bo produkujemy” — mówią jej rodzice. „Po co fabrykujemy?” — „Po to żeby sprzedać”. Zamyka się krag absurdu, i choć maszyna handlowa działa bez zarzutu, choć specjalści w rodzaju profesora Quoty dbają o stwarzanie nowych i wciąż nowych potrzeb, nikt nie wie po co się to wszystko dzieje. Florence widzi, że ludzie nie są tu szczęśliwi. Na tym kończy się pierwszy tom powieści. Konkluzji należy oczekiwać w tomie następnym, który jeszcze się nie ukazał.

VIDOCQ — INSPIRATOREM BALZACA?

W Paryżu ukazały się „Pamiętniki Vidocqa”, dzieło które po raz pierwszy zostało wydane w roku 1828. Książka jest podobno pasjonująca, zawiera opis niezwykłych losów człowieka, który zdaje się przez po myłkę został skazany na galery. Życie jego było pełne przygód i najrozmaitszych perypeti. To on stworzył pierwszą na świecie prywatną agencję detektywów. Postać Vidocqa stała się jakby modelem dla jednego z bohaterów powieści Balzaca pt. „Kuzynka Biełka”. Wstępuje on tam pod nazwiskiem Bibi-Lupin. Zdaje się, że osoba Vidocqa inspirowała także Leblanca, który stworzył Arsen Lupina, bohatera przypominającego żywo Vidocqa. Najbardziej jednak uderzające podobieństwo do Vidocqa zdradza baizakowski Vautrin w „Ojcu Goriot”, a scena aresztowania Vautrina jest w powieści Balzaca niemal identyczna ze sceną jaką opisuje Vidocq w swych pamiętnikach. Autor ich nie był jednak, jak się zdaje, tak zły — jak go widział Balzac. I tak np. Vidocq pomagał dawnym galernikom, troszczył się o ich losy i wynajmował dla nich pracę. Być może te właśnie cechy nie uszły uwagi Wiktora Hugo, bowiem bohater „Nedzników” Jean Valjean również przypomina pod wieloma względami osobą Vidocqa.

JEWTUSZENKO W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Wybitny poeta radziecki młodego pokolenia Jewtuszenko, przybył do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie wydziału sławistki nowojorskiego Queens College. Poeta gościł ma w Stanach Zjednoczonych sześć tygodni, podczas których odbędzie szereg występów autorskich.

ANNE PHILIPPE — PISARKA

Anne Philippe, wdowa po wybitnym aktorze, jakim był Gerard Philippe, opublikowała swą drugą książkę. Pierwsza miała tytuł: „Le Temps d'un soupir” (Czas westchnienia) i poświęcona była pamięci jej zmarłego męża. Druga książka pt. „Rendez-vous sur la colline” (Spotkanie na wzgórzu) jest powieścią

oparta tylko częściowo na materiale autobiograficznym. Bohaterką powieści jest czterdziestoletnia kobieta wychowująca trzynastoletnią córkę. Anne Philippe ma z małżeństwa z Gerardem Philippe'em dwoje dzieci, trzynastoletnią córkę i syna. Tematem książki jest przyjaźń matki z córką, a głównym problemem wychowywanie młodych, takie aby rodzice kierując nimi nie tracili ich zaufania.



Anne Philippe ze swoimi dziećmi

POLONICA

O KSIĄŻCE POLSKIEJ W CSRS

Polonia czechosłowacka uważnie śledzi nie tylko wydarzenia polityczno-gospodarcze Polski, ale z nie mniejszym zainteresowaniem odnosi się do wydarzeń kulturalnych. Oto „Słowo Ludu”, wychodzące w Ostrawie, z dnia 12 listopada br. bardzo dużo miejsca poświęciło sprawie książki polskiej. Podając informacje, dotyczące ilości wydań poszczególnych książek w naszym kraju, dziennik pisze o przygotowaniu do mającej niedługo nastąpić w Ołomuńcu wystawy książki polskiej. Dotychczas centrala handlu zagranicznego Ars Polona nadesłała ponad 400 tytułów (wydawnictwa albumowe, literatury społeczno-polityczną, popularno-naukową, beletrystykę, literaturę dziecięcą i inne).

Obok książek znajdują się nagrania płytowe: od muzyki poważnej poczynając aż na jazzie kończąc. Niewątpliwym wydarzeniem, wg redakcji, będą płyty z Janem Klepura.

DEKADA KSIĄŻKI POLSKIEJ W ZSRR

W dniu 10 listopada br. w trzech leningradzkich księgarniach specjalizujących się w sprzedaży książek krajów socjalistycznych — została rozpoczęta dekada książki polskiej. Dla zainteresowanych (a takich w Leningradzie nie brak) przygotowano ponad 600 tytułów. Jak podaje prasa radziecka z Warszawy ciągle napływają nowe partie nowości wydawniczych.

Uroczystość inauguracyjną na dekady książki polskiej odbyła się w księgarni „Pokój” na Newskim Prospekcie.

Obok książek, Ars Polona urządza sprzedaż około siedemdziesięciu nagranych muzyki klasycznej, estradowej i jazzowej.

„SOWIECKAJA KULTURA” O JUBILEUSZU „ATENEUM”

Jubileusz, jaki obchodził warszawski teatr „Ateneum” w związku z 35 rocznicą swego powstania, został szeroko skomentowany przez prasę radziecką. Obok wypowiedzi dotyczących długoletniej działalności teatru, jego repertuaru i aktorów, dużo miejsca poświęcono założycielowi, organizatorowi, reżyserowi i aktorowi — Stefanowi Jaraczowskiemu.

A „Sowieckaja Kultura” z dnia 5 listopada br. pisząc o jubileuszu „Ateneum” dodaje: „Warszawski teatr „Ateneum”, którego historia jest nierozwalnie związana z imieniem Stefana Jaracza, wybitnego aktora, reżysera i działacza teatralnego, obchodził niedawno swe 35-lecie... Obecnie „Ateneum” jest jednym z najpopularniejszych teatrów stolicy”.

SPEKTAKLE tygodnia

	FILM	Widzów
POLONIA	„Kochankowie z Marony” 10 seansów	3574 — 55%
WISLA	„Bariera” 22 seanse	2847 — 59%
	TEATR	
POWSZECHNY	„Mocne uderzenie” 3 spektakle	1980 — 100%
	„My fair lady”, 2 spektakle	1320 — 100%
	„Tango” 1 spektakl	600 — 90%
NOWY	„Kowal, pieniądze i gwiazdy”, 3 spektakli	3200 — 85%
	„Panna młoda” 2 spektakle	800 — 65%
MALA SALA	„Ojciec” 4 spektakle	800 — 100%
	„Anioł na dworcu” 2 spektakle	400 — 100%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Bliźniak” 5 spektakli	2091 — 101%
	„Rewolwer” 5 spektakli	1957 — 100%
OPERETKA	„Fajerwerk” 7 spektakli	6632 — 85%
FILHARMONIA	1 koncert muzyki popularnej dla zakładów pracy	760 słuchaczy 100%

WTOREK

W Anturówku odbyła się konferencja poświęcona problemom bezpieczeństwa wśród nieletnich. Współorganizatorami byli oddział łódzki SDP oraz redakcja „Głosu Robotniczego”. Przyjrzyszmy się, że była to konferencja owocna i pożyteczna, a możemy tylko przypuszczać, że do wzięcia udziału w niej nasz łódzki savoir-vivre gorliwie ignorujemy się na wzajem kiedy tylko się na daty sposobność.

ŚRODA

Do Łodzi przybyli dwaj radzieccy goście: Fiodor Sawicki z Kijowa — zastępca przewodniczącego do spraw prasowych przy Radzie Ministrów Ukraińskiej SRR i Piotr Ingulski — pisarz i dyrektor wydawnictwa „Kamieniarz” z Ławowa. W Klubie TPP-R goście spotkali się z przed stawicielami łódzkiego środowiska literackiego. Reprezentowali je Marian Piechal, Tadeusz Chrząścielewski i Leon Gomolicki. A

także dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego Aleksander Postolow. Żywo dyskutowano o sprawach przekładu i o zainteresowaniu literaturą polską na Ukrainie, o potrzebie większej niż dotychczas wymiany prac i twórców, gości interesowali się również sprawami wydawniczymi.

CZWARTEK

Lekcje wzięcia dobrych obyczajów i odpowiedzialności za słowo wypowiedziane publicznie zaczyna nabierać niepokojących rozmiarów. Wciążwszy któregoś dnia telewizor dla wysłuchania najnowszych przebojów giedy piosenki stałam się niechęcią (wraz z paroma milionami widzów) świadkiem żenujących wręcz wypowiedzi i to ze strony jurora, powołanego do oceny piosenek. Oto znany dziennikarz, stały felietonista „Kultury” z rozbrajającą szerokością i beztroską powiedział, że autorzy teatru jednej z piosenek muszą być niewątpliwie idiotami, bo inaczej nie napisaliby tak idiotycznej piosenki.

Rzecz byłaby może tylko niesmaczna i brzydko świadcząca o wypowiedzianym te słowa, gdyby nie fakt, że na chwilę przed tem konferansjer z nazwiska i imienia wymieniał autorów tekstu piosenki. Nie wiem czy wystąpią oni na drogę sądową (a jeśli tak, to satysfakcję prawdopodobnie otrzymają), ale nie zależnie od tego mogę chyba wyrazić nadzieję, że na przyszłość telewizja oszczędzi nam tego rodzaju dopaźni artystycznych.

PIĄTEK

Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych marzy się in tegrajca czterech starych budynków, w których pracuje obecnie, w jeden i to całkiem nowy. Zatwierdzony projekt wstępny miał być gotowy na 30 czerwca br., nie został jednak ukończony do tej pory, mimo, że uczelnia skorzystała z przysługującego jej prawa ścigania kary konwencjonalnej w wysokości 23 tysięcy złotych miesięcznie. Niestraszna to wiadomość dla Miastoprojektu karcara, bo nie skutkuje. Pro-

jekt wciąż nie jest gotowy i istnieje niebezpieczeństwo, że inwestycja wypadnie z planu 5-letniego. Przepszc może i dotacja, której udzielił Ministerstwo Przemysłu Lekkiego dopiero wówczas gdy projekt będzie ukończony.

SOBOTA

XV Liceum Ogólnokształcące im. Jana Kasprowicza w Łodzi kulturyje pa mić swego patrona. Szkoła utrzymuje kontakty korespondencyjne z żoną poety, a także ze Związkiem Podhalań w Poroninie. Jej go przedstawiciel Andrzej Skupień-Florek przesiadł ostatnio swę wspomnienie o Kasprowiczu, którego był uczniem. W sobotę w Liceum odbyła się uroczystość poświęcona 40 rocznicy śmierci Jana Kasprowicza, polonazna z półkolumnowaniem 20-letniego dorobku szkoły. W bogatej części artystycznej, w której wystąpili artyści łódzcy, zespoły amatorskie i szkolne, młodzież recytowała namkniętejsze wiersze poety.

T. WOJ.

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Szpital dla nerwowej choroby w Walecie (pow. sieradzki) obchodził podwójną uroczystość. 30-lecie pracy lekarskiej dr Eugeniusza Kaloniewicza, zwanego tamtejszym środowisku Ju dymem z Warty oraz 20-lecie działalności zespołu teatralnego, który istnieje przy szpitalu. Dorobek artystyczny zespołu, to nie tylko dziesiątki przedstawień zrealizowanych dla środowiska, okolicznych mieszkańców i pacjentów szpitala. Zespół pracowników szpitala warciańskiego w ciągu tych lat zajmuję się również działalnością kulturalną szerzej

pojętą. Ostatnio w obecności żonaci się setnej rocznicy urodzin Władysława Reymonta, uczestnicy aktywnie w odbudowie zniszczonego w czasie okupacji pomnika pisarza w Małkowie, zorganizował zbiórkę metalu kolorowych. Erzy szpitalu prowadzone są również zespoły amatorskie, w których uczestniczą pacjenci szpitala. Jest to jedna z wypróbowanych form pracy, dająca dobre rezultaty lecznicze, pomagająca w przywróceniu chorym zdrowia.

PONIEDZIAŁEK

Absolwenci łódzkiego Li

ceum im. H. Wieniawskiego sprawili swym dawnym wychowawcom i pedagogom miłą niespodziankę. Na Dzień Nauzyciela przy gotowali program kabaretowy specjalnie w tym celu powołanego do życia kabaretu „Legenda” (w nawiązaniu oczywiście do utworu Wieniawskiego). Kierownikami artystycznymi byli dwaj młodzi pedagodzy S. Izdebski i J. Bauer, wykonawcami absolwenci szkoły, z których troje przyjechało specjalnie z innych miast, gdzie obecnie studują. Program naturalnie okolicznościowy — tematy z życia szkoły i muzycyści — dobrze wykonany, dowcipny, teksty i muzyka własne.

„Legenda” powołała się do życia na jeden występ, wyłącznie dla sprawienia radości dawnym wychowawcom. A szkoda, bo ze spółtalentowani, o wy rażnym zalecniu satyrycznym i mógłby w tej dziedzinie niejedno jeszcze zdziałać. Może jednak zdecydować się na dalszą efektywną stencję. Gorąco namawiamy

KRONIKA wandalizmu

Pracownik z ADM, który w jednym z domów zakładał nową oprawkę do elektrycznego gniazda w klatce schodowej, oblał jej rogi tylko po to, żeby przestała kusić złodziejaską. Zakładał tę oprawkę już po raz szósty w ciągu kilku tygodni, wolał więc zrezygnować z estetyki niż pozbawiać lokatorów światła na schodach. Ten manewr antyestetyczny nie ma jednak znaczenia jeśli chodzi o automaty instalowane w klatkach schodowych. Kosztują one około 500 zł sztuka i są systematycznie wykradane z nowych bloków, ujęć zaś sprawców kradzieży jest, okazuje się, równie trudno, jak znaleźć igłę w stogu siana. W domu piszącego te słowa automat zakładano cztery razy w ciągu miesiąca i cztery razy go skradziono.

Gdybyśmy spróbowali obliczyć wartość nowych urządzeń, żarówek, automatów elektrycznych, wartość remontu drzwi i okien, wstawianych ciągle od nowa szyb, odnawiania dewastowanych klatek schodowych okazałoby się, że skutki wandalizmu wyrostków, złodziejasków różnego autoramentu, przestępców czyhających na społeczne miśnie, czy zwykłych chuliganów niszczących tylko dla pasji niszczenia — to połowa wszystkich kosztów utrzymania naszych domów i ich otoczenia w jakim takim ładzie.

Rozmawiałem na ten temat z kilkoma administratorami i wszyscy są zgodni co do oceny zjawiska: nie boli ich starość, ani zużycie się tego, czy innego urządzenia, lecz straty powodowane przez bezmyślnych niszczycieli, nie wysokość kosztów corocznych i cokwartalnych remontów — lecz społeczna klęska wandalizmu. Ta kronika łódzkiego wandalizmu obejmuje nie tylko domy.

I tak powiedziano mi, że w Łodzi istnieją chuligańskie gangi „telefoniczne”. Dzielą miasto na rejony, a budki telefoniczne z automatami rozdzielają sprawiedliwie między siebie. Każdy członek gangu ma swoją ilość budek do „obrobienia”. „Obrabiają” w różnych celach — dla fasonu, żeby było ciekawiej (telefon, który działa, razi ich poczucie wrogości do urzędników tego świata), dla pieniędzy (butelka wina kosztuje 17 zł), dla własnego hobby.

Słuchawki w budkach są pancerne. Sznur opleciony jest grubym skrzepem metalu i wzmocniony dodatkowo stalowym drutem. Wszystko na nie — „specjaliści” od budek potrafią nie tylko rozebrać automat telefoniczny na części, ale i wykraść z puszek automat pieniądze. Dzień w dzień przestaje działać w Łodzi około 50 publicznych automatów.

W tym roku pobleżne tylko obliczenia strat w aparatach telefonicznych, kasetach i innych urządzeniach opiewają na 65 tys. zł. UTM każdą kradzież melduje milicji,

ale jest to strata czasu i dla urzędu telefonicznego i dla MO, gdyż jedynie w ok. 10 proc. udaje się ustalić sprawców, najczęstszym więc pismem z prokuratury dzielnicowej jest zawiadomienie, że „na skutek nieustalenia sprawcy dochodzenie umorzono”.

Uratować telefony przed zagładą można by tylko wtedy, gdyby przy każdej budce stał jeden milicjant, lub też — gdyby społeczeństwo zerwało z obojętnością w tej dziedzinie. Co prawda ostatnio zdarzyło się, że ktoś zadzwonił do MO donosząc o podejrzanych osobnikach manipulujących w pobliskim automacie, ale przecież jedna jaskółka nie czyni jeszcze wiosny. Ludzie nie reagują na wandalizm — albo ze strachu przed zemstą zorganizowanej paczki złodziei, albo z obojętności dla społecznego znaczenia udogodnień cywilizacyjnych.

Lapie się więc, przekazując organom wymiaru sprawiedliwości, zaledwie co dziesiątego przestępcę telefonicznego.

Na 291 aparatów dostępnych przechodniom aż 50 trzeba dzień w dzień naprawiać uzupełniając ich wyposażenie. Co piąty zatem automat pada ofiarą niszczycieli.

Wandale niszczą w Łodzi rocznie ponad 1000 ławek w parkach i na skwerach. Jedną ławkę kosztuje 700 zł. Gros zniszczeń notuje się na Polesiu, w Śródmieściu i na Bałutach, bo tu najwięcej terenów zielonych, parków i skwerów. W parkach co jakiś czas trzeba wymieniać tablice (wartość jednej 800 zł), gdyż chuligani rozbijają je kamieniami lub wyrwywają w całości. Łupem chuliganów padają również ławki o podkładzie betonowym.

Pracownicy Zarządu Dróg i Zieleni meldują nieustannie o stratach: tu odrabano całe korony świeżo posadzonych drzew, tam wyrwano z korzeniami sadzonki — rocznie około 2.000 drzewek. Te drzewka kosztują rocznie około 100 tys. zł, a krzewy, trawniki i klomby — około 150 tysięcy. Dzielnicie stale zwracają się o pomoc do społeczeństwa i MO, ale sprawy grasują wieczorami i w nocy, trudno ich upilnować. Przed Bożym Narodzeniem giną dziesiątki drzewek iglastych. Gdy przybywa miastu zieleni, rosną i straty. Tym bardziej, że dozor w parkach to zazwyczaj starsi ludzie, którzy — zwłaszcza wieczorem — unikają widoku chuliganów. W parku Staromiejskim trzeba w tym roku zasadzić na miejsce poniszczonych i skradzionych — 40 rododendronów i azalii. To samo w parku Mickiewicza na Julianowie, czy na autostradzie warszawskiej. Sprawy — najczęściej w koleżkach — niezwykle mało. W całym ub. roku na Polesiu było 5, a w Śródmieściu — 2. A że ich tak mało — szkody zaś co roku wielkie, więc Liga Obrony Przyrody agituje młodzież szkolną do ochrony zieleni w mieście, a Miejskie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze, które ma najwięcej roboty z usuwaniem skutków chuligaństwa, wandalizmu i kradzieży — o to, by prasa zamieszczała wyroki na wandal, podobnie, jak wyroki na notorycznych alkoholików, stających przed koleżkami, czy chuliganów zakłócających publiczny spokój.

Kronika wandalizmu byłaby niepełna bez tych, którzy walczą ze światłem. Jedni z nich tłuką żarówki, bo w ciemnościach życie ułatwione, inni demontują urządzenia energetyczne, bo blachy można sprzedać na złom za kilka zł, wreszcie inni — po prostu dla przyjemności tłuczenia. Jednego dnia w parku Słowackiego (dawniejsza „Wenecja”) monterzy założyli oświetlenie, aby ludzie mogli bezpiecznie wracać tamtędy do domu, a następnego dnia w parku było już ciemno. Jak wynika z pisma Zakładu Energetycznego do Komendy MO — skradziono 12 topików, 12 główek, pogięto 8 drzewczek w słupach. Światło w całej „Wenecji” wysiadło. Ponieważ najlepszym celem chuliganów i niszczycieli były blade kule oświetleniowe, więc dla zabezpieczenia światła przed atakami wandalii przerobiono lampy w parku

ZASŁYSZANE HISTORIE STAREJ i NOWEJ ŁODZI



PŁAWIENIE MANI FIKUS

Czy była to prekursorka słynnej Czarnej Mańki z chojeńskiego Czarnego Dworu — nie wiadomo. Dość, że miała spółkę z diabłem! W owe czasy, a była to już połowa siedemnastego wieku — wystarczyło by podwika uma wiała się na skraj lasu o wieczorowej porze z jakimś kuso i na czarno ubranym jegomościem, a już ją podejrzewano o czary, już ją czarownicą chrzciono! Bo w pobliżu mogła się krowa nie wycielić, i mleko mogło od diabłańskiego pioruna być porażone... W tym miejscu ciszyć nam się wypada, że żyjemy (uż to w innych czasach i że nie ma już polowań na czarownice...)

A rzeczka Łódka była wtedy, że ho, ho! Tu na przykład przy Zgierskiej, w parku Staromiejskim — był młyn, a przy nim spietzenie wody i tu odbyła się ta ściele diabła historia.

Mania Fikus, przy wiejskiej ulicy stodołnianej, za chalupą, rzekła głośno — by to diabli wzięli!... Ktoś to posłyszał, doniósł przygluchemu plebanowi, ten zaraz do wójta i — na Radeł! A rayceowie z lawnikami (przeżacni), Drewnowicze, Rudniccy, Suwały i Zawady czy Daszkowicze orzekli w głos: — niechylnie mu-

si mieć spółkę z diabłem, bo diabłów wzywa na pomoc! Zaraz też pochwytili Manię Fikus w dyby (miała też i inne rodowe nazwisko, nazywano ją Klaki) i hajda na tortury. Przywiedli aż z królewskiego miasta Tuszyńska purpurowego kata...

Jeśli ludzie kochani myślicie, że striptis — to wymyśl naszych złych czasów, to się grubo mylicie! Już przed wiekami ludzie lubili takie widowiska.

Na torturach, przy śledztwie, naoczni świadkowie zeznali, że jak Manię pokropili wodą — to za pierwszym razem trzy cmy z niej leciały, a za drugim aż dziewięć... Był to widomy znak, że nieczysta i trzeba ją publicznie wypławić. Zwołano tedy przy bębnie, wszystkie żywe dusze miasteczka Łodzi, przybyła gawiedź z wiosce — Widzewa, Bahut, Wólki nad Jasieniem. Na rynku podie ratusza, rozebrano Manię do naga, wsadzono ją do wora, tamże wpuszczono kota, mysz i zmię, a gdy z wora zasznurowanego zaczęły się wydobywać wrzaski — z pobojnego tłumu padły okrzyki! — Jako żywo, tam diabeł siedzi. I tak wrzeszczy, niechylnie pomaga jej się wydostać na świat boży! Nuzę więc okładać ten wór święconymi kijami by diabła przegonić, a gdy nie pomogło, wśród ciszy wielkiej spuszczone ją do pobliskiej rzeki. Gdy wyptowała — to diabeł jej pomagał, więc co bardziej gorliwi dopychali ją długimi żerdziami (obwiązanymi uprzednio kokardkami od uroku) — aż do dna. Tak się spełnił los Mani Fikus de domo Klak...
OPWIADA — ZDZISŁAW KONIKI
RYSUJE — WACŁAW KONDEK

Poniatowskiego, Sienkiewicza, Staszica, przy blokach ZUS na Chojnach i obecnie ofiarą napastnika padnie najwyżej żarówka, metalowe kosze zaś nie ucierpią już tak od uderzeń kamieniami jak szkło.

Wandale są dobrze poinformowani i konsekwentni; na ulicy Zagranicznej, gdy elektryk kończył zakładanie żarówek i naprawę poniszczonych urządzeń oświetlenia okazało się, że swoją robotę musi zaczynać od początku. W czasie jego pracy już wyluczono kilka lamp dopiero co założonych.

Na Zgierskiej przy parku Julianowskim wandale byli bardziej agresywni — pobili ludzi zakładających powyrywane korki i brakujące żarówki. — Przechodzący przypadkowo patrol ujął dwóch napastników. Sąd wymierzył im karę po pół roku więzienia.

Jak ratować światło w tym mieście? ZEL-M proponuje zwiększenie wysokości słupów w parkach na głównych alejach, by utrudnić wandalom trafienie kamieniem, proponuje ograniczenie światła na małych, wąskich alejkach, którymi i tak nie chodzą ludzie wracający z pracy do domu, ograniczenie, bo lampy na tych alejkach tłumione są systematycznie, a praca ekip elektryków nieustannie naprawiających tu światło jest jak dotychczas wręcz daremna.

Ale wszystko to są półśrodki. Czas już na poważną, przemyślaną ofensywę MO. ORMO — a może i patroli ZMS i aktywność społeczną. Wandalizm się pleni, bo, niestety, najczęściej natrafia na bierność i bezradność społeczeństwa.



Lewym okiem

PLACI, KTO CHCE

W paryskim teatrze „L'oeuvre” od szeregu tygodni spotyka widzów niespodzianka: nikt nie żąda przy wejściu biletów. Po prostu wchodzi się, siada i patrzy. Dopiero wychodzących zapytuje uprzejmie elegancko ubrany pan: — Czy monsieur zadowolony ze spektaklu? Jeśli tak, to prosimy o pięć franków...

Nazwano ten system: „Operacja Zaufanie”, co przypomina szczyfry wielkich ofensyw i desantów wojennych, a cała prasa — francuska i polska — pisze o tym jak o wielkim eksperymencie. Ale eksperyment ten znany był już we wczesnym

średniowieczu, kiedy to wędrujący aktorzy ustawiali swój teatr na środku rynku i przedstawiali, nie żądając zapłaty. Kto chciał, rzucił dyche do kapelusza. Skoro nawiązujemy do średniowiecznych tekstów, do stylu rybałtoskiej gry z przebieganką na oczach publiczności, z zamiechaniem kurtyny, z prymitywem masła i gestu — niechże guoli zabawy będzie i średniowieczny sposób odwoływania się do hojności, dobrej woli, snobizmu widza. Chyba jednak trochę nieścisłe jest mówienie tu o zaufaniu do klienta i stawianiu paryskiego teatru za wzór stosunku sprzedawcy do nabywcy.

No bo co by to było, gdyby ów wzór upowszechnić i zgeneralizować! Są na przykład tramwaje bez konduktorów. Ufa się pasażerowi, że zapłaci. Ale nie mówi mu się: zapłać, wysiadając, jeśli jazda ci się podobała. Nigdy się nie podoba, przynajmniej w naszym mieście. Zapłać za zjedzony omelet, jeśli ci smakował. Wcale nie smakował. Zjadłem, bo lekarz zabronił rumsztyków. Uszami już mi omeletki wychodzą. Za co mam płacić?

Można by w tym „zaufaniu” iść jeszcze dalej. Zapłać pani za sukienkę, jeśli spodoba się w niej temu panu z fotografii. Za wycieczkę do Bulgarii, jeśli uda się korzystnie nabyć kożuszek i zawrócić czarującą znajomość z brunetem. Jednym słowem: klient zapłaci za usługę dopiero wtedy i tylko wtedy, kiedy jej realizacja da efekty odczuwalne wyłącznie subiektywnie, zgodne z jakimś tam osobistymi marzeniami i wyobrażeniami usługobiorcy. Pomyślcie, co by to było!

Zostawmy lepiej to efektowne a demagogiczne politykowanie słówkiem: podoba się, smakuje, zadowolony itd. Zaufanie to ja rozumiem tak: chcę wierzyć, że kucharz zrobił wszystko, żeby flaki konsumentom smakowały i żeby się nimi nie struli. Ze kelner zrobił wszystko, żeby konsument nie czekał na te flaki dłużej niż trzeba, żeby nie szukał po całej sali dla siebie popielniczki, żeby nie zgarnął serwetkę z obrusa resztek po poprzednim konsumentie, żeby miał pod ręką sól i paprykę. Kelner zaś i kucharz chcą wierzyć, że gość zje i zapłaci, że nie ucieknie chyłkiem, zapominając zostawić byżkę i widelec; że nie trzeba go wcale pilnować.

Zaufanie jest wtedy, kiedy każdy robi to, co do niego należy nikt nikomu nie musi patrzeć wczynie na ręce. Nie podbijajcie nam bębni, że niby nasz klient nasz pan, że dopiero szerszy uśmiech klienta daje podstawę do prochy o zapłać. Zaczynajmy znaczenie skromniej: niech każda rzecz i każda usługa zawiera naprawdę te cechy, które według powszechnego przekonania i według sprawdzalnych, ustalonych wymogów bezwzględnie posiadać powinna; niech nabywca wie, że każda rzecz i usługa te cechy posiada, tylko te, bez cudów; i niech pamięta, że w odpowiedzialnej chwili trzeba odpowiednio zapłacić, że po prostu nie można, nie można! — okazać się kanciarzem, cwaniakiem, hochsztaplerem, złodziejaskiem.

I już. Mało? Bardzo dużo. Wielki eksperyment. Operacja Zaufanie.

CWIEK